Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.

ŁOWIEC POLSKI



Wschód słońca na złocie kaczek. Fotografja odznaczona specjalnym złotym żetonem na konkursie fotogr. „Łowca Polskiego". Fot. W. Korsak.

ORGAN

POLSKIEGO ZWIĄZKU STOWARZYSZEŃ ŁOWIECKICH

Nr. 35 (775) 10 GRUDNIA 1934 R.



Leśniczówka w Kosmaczu — Karpaty Fot. M. G.

POLSKIE ŻUBRY I TURY W POEMACIE ŁACIŃSKIM Z 1502 R.

Pod koniec wieku piętnastego zawitał do Krakowa poeta niemiecki, Konrad Celtis rodem z Wipfeld koło Würzburga. Nazwisko to było przybrane, a raczej było to, zwyczajem ówczesnym, przetłomaczone na łacinę nazwisko rodzinne Pickel (po polsku „dłuto"). Był to człowiek nieprzeciętnych zdolności, o umyśle ruchliwym i niespokojnym, oddany w zupełności nurtującym wtedy całą Europę prądom odrodzeniowym, których szerzenie uważał niejako za swoje powołanie. Objechał wiele miast i krajów, a zainteresowany Polską, zwłaszcza sławą uniwersytetu jagiellońskiego, zapisał się w roku 1489 na wykłady naszego słynnego astronoma. Wojciecha z Brudzewa (Brudzewskiego). Nie poprzestając na nauce, rozwinął i tu działalność w duchu humanistycznym i uzupełniał na tem polu zasługi znakomitego Kalimacha, ale miejsca długo nie zagrzał, bo, czy to wskutek niefortunnych miłostek, czy wskutek jakichś bliżej nieznanych zatargów, po dwuletnim pobycie Kraków opuścił. Koniec życia spędził w Wiedniu, jako profesor stworzonej dlań przez cesarza katedry poetyki, tam również, w kościele św. Szczepana, jest pochowany.

Sławę swą zawdzięcza Celtis głównie wierszom łacińskim, zebranym w trzy odrębne całości: ody, epigramaty i elegje. Nas w tej chwili interesują przedewszystkiem elegje, wydane w roku 1502 pod tytułem *Quattuor libri amorum.* (Cztery księgi o miłości), wśród których znajdujemy pieśń o Wiśle. Poeta opisuje cały bieg tej rzeki od źródeł do ujścia, poświęcając szczególniejszą uwagę żubrom i turom, zamieszkującym nizinę mazowiecką. Jak zobaczymy, bliższy opis poświęcony jest przedewszystkiem żubrowi i sposobowi polowania na to zwierzę, co oczywiście równie dobrze da się zastosować i do tura, gdyż łowy te miały charakter identyczny.

„Libri amorum" — to druk rzadki i, niestety, w Polsce przez żadną bibljotekę niewykazywany. Wspomnianą pieśń o Wiśle przedrukował Jan Pistorius w dziele swem *Polonicae historiae corpus...* (Bazylea 1582) i dał jej tytuł:

„*Carmen Conradi Celtis P. L. ad Vistulam fluvium, ubi ortum et exitum ejus describit et de uesontibus*

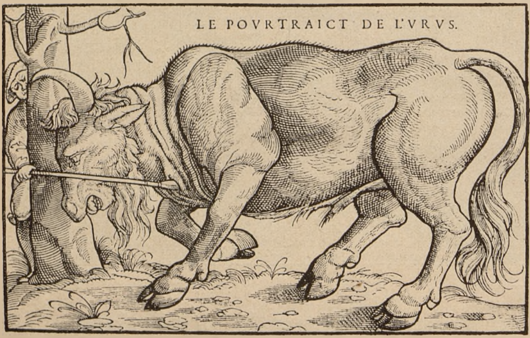


Konrad Celtis (lub Celtes) z laurem poetyckim na głowie (nadanym mu przez ces. Fryderyka III).

et eorum venationibus agit". (Pieśń Konrada Celtisa, poety łacińskiego, do Wisły, z opisaniem jej źródeł i ujścia, jakoteż polowania na żubry).

Po porównaniu tego przedruku z oryginałem, którego kopję fotograficzną, dokonaną z egzemplarza Bibljoteki Narodowej w Paryżu, posiada jeden z lwowskich zakładów uniwersyteckich, przekonałem się, że różnice w tekście, aczkolwiek istnieją, są stosunkowo nieznaczne. Całość „Elegji do Wisły" obejmuje 58 wierszy, z czego 24 wiersze poświęca poeta żubrom, względnie turom.

„...Jest to owa szczególna okolica, w której
Żyją kosmate żubry i potężne tury!
Zwierz to iście potworny, w obyczajach srogi,
Wzrok ogniem ciskający ma, zagięte rogi,
Sierść czarną, łeb kudłaty, jak i cielsko całe,
Długa broda okrywa mu gardło nabrzmiałe.
Gdy w drodze nieprzyjazna stanie mu istota,
Na rogi ją porywa i w powietrze miota,
Gdy gniewny — wszystko niszczy i miażdży dokoła,
Nawet drzewa obala uderzeniem czoła!
Myśliwiec jednak, kiedy wytropi to zwierzę,



Rycina z XVI wieku, przedstawiająca charakterystyczny sposób polowania na tury i żubry. Wyobrażony na niej tur (Urus), a nie żubr (Bison, Vison), aczkolwiek nieściśle, bo z brodą. Z dzieła: La description du royaume de Poloigne (sic) par Blaise de Vigenère, Paris, 1573.

Ten właśnie ustęp, będący w swoim rodzaju pierwszym w literaturze wogóle, podaję poniżej we własnym przekładzie polskim, którego dokonałem z oryginału łacińskiego. Tekst starałem się oddać jak najwierniej, przyczem jednak nie usiłowałem naśladować wymiarów i rytmiki wiersza klasycznego (jakkolwiek takie naśladowanie jest do pewnego stopnia możliwe), zastosowałem natomiast wiersz 13-zgłoskowy, przyczem rymowy.

Pomijam początek poematu, zaczynający się od słów, któreby po polsku brzmiały mniej więcej:

„Wisło! ty, co u Karpat rodzisz się podnóża..."
pomijam i koniec, opisujący ujście Wisły, a przytaczam jedynie tę część, która nas w tej chwili obchodzi i dotyczy środkowego biegu rzeki przez nizinę mazowiecką:

Takim oto podstępem do niego się bierze:
Najpierw podrażnia bestję i twarde jej ciało
Kaleczy, z łuku zręcznie wypuszczoną strzałą.
Poczem niby ucieka i za pniem się chowa,
W który wali rogata, straszna żubrza głowa.
Byk szaleje i pragnie dostać napastnika,
Wkoło dębu go szuka, lecz tamten umyka
I co chwilę z za drzewa nowy cios wymierza,
Gęsto raniąc oszczepem mocną skórę zwierza,
Tak, aż go wreszcie siły opuszczają snadnie
I, do walki niezdolny, ustaje bezwładnie.
Wtedy łowcza drużyna wychodzi z ukrycia,
Otacza zwierza kołem i pozbawia życia..."

WITOŁD ZIEMBICKI.

WYPRAWA NA POŁUDNIE ANGOLI.

Boa-Serra, piątek, 9 października 1931 r.

Wybieramy się na południe Angoli po zakup krów, a przy okazji mamy zamiar trochę popolować. Od kilku dni wyciągnęliśmy namioty i mustrujemy naszych murzynów w szybkiem ich rozkładaniu i zwijaniu, ale nie idzie im to dość składnie.

W tych wszystkich przygotowaniach przeszkodził nam napad szarańczy, która, gnana szalonym, zimnym wiatrem, jak czarny grad, spadła na naszą okolicę. Deszcz, wichura, krzyki murzynów, odpędzających *luhumę* (po murzyńsku szarańcza) — wszystko to razem czyniło nieopisany hałas. Psy i nasze małpy, ogarnięte ogólnym szałem, uganiały się też za szarańczą, a małpy najadły się jej tyle, że długo już potem na nią patrzeć nie chciały.

Trzeba nadmienić, że szarańcza jest także przysmakiem murzynów: zajadają ją pieczoną, a potem maczaną w palmowej oliwie i soli. Chrup.. chrup... jak orzeszki, trzeszczy pod zębami najsmaczniejsza ze wszystkiego — główka.

Sobota, 10 października.

Mieliśmy dziś wcześnie wyruszyć z domu, ale, jako dobrzy fermerzy, musieliśmy najprzód zakończyć nierozstrzygnięty jeszcze bój z szarańczą. Poprzedniego dnia, zmoczona deszczem i ogłuszona wichrem, zapadła na noc na pola (na szczęście nic już tam nie było), lecz rankiem, ogrzana ciepłem słonecznem, zerwała się wolno i olbrzymią chmurą posuwała się nisko nad ziemią. Coraz to nowe falangi wstawały z pól i ciągnęły, jak gęsta kurzawa, wzbijając się wolno w czyste powietrze.

I znów rozpoczął się znajomy koncert: hałas i krzyki murzynów, którzy biegają, jak opętane djabły, machając rękami i bijąc w blachy. Coraz wyżej i wyżej suną szare chmury, a w powietrzu drga cichy, lecz groźny poszum skrzydeł tych miniaturowych aeropla-

ników. Powoli oddalają się one od naszych posiadłości i lecą w dalekie przełęcze górskie, ku nieznanym, lecz wiadomym im celom.

Rozpoczynamy wreszcie ładowanie naszej kamionety, t. zw. „Kownackiej" (ciężarowy Chevrolet), gdyż tylko nią możemy się wybrać w te niepewne i nieznane drogi, bowiem nasz kochany „Stary" (Chrysler) jest na to za niski i za ciężki.

Namiot, prowizje, garnki, kucharz „Siko", drugi murzyn „José" i „spec" od auta „Faustino" — oto nasz ładunek. Zajeżdżamy jeszcze do „Nowej Ery", bo i pan Dekański z nami jedzie. Wreszcie — w drogę do Huambo. Tam bierzemy całą beczkę benzyny, żelazo do znaczenia bydła, lecz zanim załatwiliśmy to wszystko, zrobiło się już ciemno, postanowiliśmy więc przenocować w Huambo.

Niedziela, 11 października.

Michał już dziś w nocy zaczął polowanie, bo nałapał 46 pluskiew... aka... aka... Nieupragniona to wprawdzie zwierzyna, no, ale trudno, to jest Afryka (a w Europie czasem nie lepiej). Nie rozmyślamy nad tem wiele, bo komu w drogę, temu czas.

Niebo jest czyste, powietrze rzeźwe, droga, jak żółty wąż, wije się wśród zielonych pagórków, a „monolity" groźne i wspaniałe, jak zaklęte w kamień zamczyska, odcinają na niebie swoje stalowej barwy kontury. „*L'air est pur, la route est large... et l'auto va à la charge des montagnes et des vallés*". „Kownacka" jest w formie, w sam raz naładowana, jedzie lekko i szybko, motor pracuje wesoło, kilometry i godziny biegną prędko.

Mijamy małe miasteczko Caalę, kierujemy się na Cacondę. Wysokie góry powoli znikają, wjeżdżamy w faliste wzgórza i pagórki, droga doskonała, szeroka i równa, toteż dojeżdżamy do Cacondy o 2-ej po południu (150 km.). Tam pijemy kawę, nabieramy w bak benzyny i ruszamy dalej. Na 67-ym kilometrze za Cacondą — pierwsza zwierzyna: olbrzymia, szara antylopa ciężkim galopem ucieka w las.

Robi się śliczna, popołudniowa pora, słońce zwolna chyli się ku zachodowi. Widzimy dwa stada antylop: „*nusy*" i malutkie „*bambi*" (nazwy miejscowe). Wesołe małpki i śliczne, zielonkawe wiewiórki skaczą po drzewach. Las staje się coraz większy, drzewa grubsze i prostsze. To już nie nasza „brussa" z płaskowzgórza, karłowata i pokręcona.

Lecz mrok szybko zapada, więc stajemy na noc w pierwszem lepszem, równiejszem miejscu nad drogą. Rozbijamy namiot, smażymy jajecznicę z kartoflami, zapijamy doskonałą, gorącą herbatę i idziemy spać.

P. Dekański śpi na kamionecie, murzyni pod nią. Jest dziwnie duszno i parno, zdaleka dochodzi głuche warczenie tam-tam, krzyki i śpiewy murzynów z jakiejś niewidocznej wioski, a odgłosy te milkną dopiero późno w nocy.

Poniedziałek, 12 października.

Spaliśmy doskonale, choć nad ranem zrobiło się chłodno i wilgotno. Przy rannem śniadaniu rozpoczynamy „rozmowę" z miejscowemi murzynkami, które przyszły gapić się na nasz obóz. Jest to już zupełnie inne plemię, niż u nas na górze i nasi murzyni nie mogą się z niemi dogadać. Wielce są tem zadziwieni, a nawet przestraszeni, czując się zupełnie obco wśród niby „swoich" rodaków. Najzabawniejsze jest to, że mogą porozumieć się jedynie w języku portugalskim.

Kobiety tutejsze mają dziwaczne uczesania, a z tyłu głowy rodzaj sztywnego wachlarza z włosów, nabijanego błyszczącemi gwoździkami. Na szyi, a często na nogach i rękach — całe piętra cienkich plecionek z trawy i prawie każda nosi na piersiach jedną wielką, białą muszlę, którą miejscowi, biali kupcy sprzedają im bardzo drogo, bo często za jedną sztukę bydła.

Jakiś murzyn, który nieźle mówił po portugalsku, tłomaczył nam znaczenie niektórych wyrazów w ich narzeczu: „*o mewa*" — woda (u naszych murzynów „*o wawa*"), „*mahini*" — mleko (u naszych „*assandżere*"), „*majaki*" — jajka (u naszych „*a sala*"), „*uapinguka*" — dzieńdobry, „*vakietu*" — dziękuję (u naszych — „*tapandulz*"), „*ongulika*" — lew (u naszych — „*ohosi*").

Wszyscy murzyni chodzą tu uzbrojeni w łuki i oszczepy, plemię to bowiem bardziej jest wojownicze, niż nasze, a przytem okolice roją się od zwierzyny, przy której i o drapieżniki nietrudno.

Zwijamy wreszcie nasz obóz, murzyni rozchodzą się w towarzystwie swych licznych i strasznie chudych psów, a my jedziemy do pobliskiej osady Quipungu. Tam kupujemy benzynę i olej do auta, zaopatrujemy się w wodę, bo mało jej teraz będzie po drodze i wjeżdżamy w kraj zupełnie inny i obcy.



Rozmowa na migi z miejscowemi pięknościami.

Droga teraz wąska i wyboista, a miejscami piaszczysta, krajobraz prawdziwej „brussy" afrykańskiej, znanej z opisów i fotografij myśliwych, którzy polowali w Afryce. Akacje, nagie krzewy kolczaste, ciernie, wysoka, żółta trawa, czasem wyższe, parasolowate drzewo. Jest to też siedlisko licznej zwierzyny, a także i lwów, które pewno lubią te poplątane haszcze. Prześliczny zapach różowo kwitnących akacyj miesza się z ostrym swędem spalenizny z traw, odwiecznym, prastarym zwyczajem spalanych corocznie w porze suchej przez murzynów.

O 11 i pół pozostawiamy z boku małą osadę Capelongo, a o 2 km. dalej ujrzeliśmy po raz pierwszy rzekę Cunene. Wspaniała ta i jedna z największych rzek w Angoli zaczyna się na płaskowzgórzu, gdzieś w okolicach Huambo, potem długo płynie na południe, by następnie skręcić na zachód, ku oceanowi (całym swym południowym biegiem tworzy ona granicę między Angolą, a dzisiejszą kolonją angielską — dawniej Süd-West niemiecką).

Nad brzegami Cunene najlepsze są tereny do polowania, a także liczne pastwiska dla bydła, które znajduje tu obfitą i pożywną trawę. Narazie jednak oddalamy się od rzeki i trafiamy na fatalną, piaszczystą drogę. Michał klnie, maszyna się grzeje, często grzęźniemy w piachu, którego pełno w głębokich jarach. Są one teraz suche, lecz w mokrej porze zamieniają się w groźne rzeczki, a ponieważ jedziemy teraz ciągle z biegiem Cunene, takich wyschłych dopływów jest coniemiara. Przytem żar jest okropny, gdyż zjeżdżamy ciągle coraz niżej nad poziom morza. Zato w lesie widzimy moc ścieżek, wydeptanych przez zwierzynę, i wreszcie... pierwsze ślady słoni! Natomiast wiosek murzyńskich spotyka się tu bardzo mało i cała ta okolica jest słabo zaludniona.

Tym razem była 3-cia po południu, gdyśmy stanęli, by rozbić obóz na noc na wysokim pagórku, u stóp którego płynęła srebrzysta Cunene. Wyładowaliśmy kamionetę, a sami „na lekko" pojechaliśmy rozejrzeć się trochę za zwierzyną, bo i nasza spiżarnia domagała się zasilenia. Jechaliśmy dość długo bez skutku, spotykając najwyżej stadka bydła, które murzyni zganiali na noc. Tylko znów na piasku zobaczyliśmy ślady kilkunastu sztuk słoni, które niedawno musiały tędy przechodzić, bo odciski były zupełnie wyraźne i świeże.



Rzeka Cunene.

I pomyśleć, że tam, gdzie przeszły te olbrzymy, piasek był tylko lekko ubity, a nasza kamioneta w powrotnej drodze, w tem samem miejscu mało nie ugrzęzła. (Promień stopy słonia miał 20 cm, a nawet 25 cm).

Tymczasem niebo pokryło się chmurami i deszcz wisiał w powietrzu.

Nagle przed nami zamajaczyły prześliczne, duże antylopy, zwane tutaj „*Palanki*", a w kilka sekund po nich dwie antylopy „Gnu", przypominające z głowy i rogów swojskiego byka. Stanęły na oka mgnienie na drodze, zwróciwszy ku nam swoje brodate łby, a potem jednym skokiem rzuciły się w las. Kamioneta właśnie zwolniła w piachu i dopiero po chwili p. Dekański, który stał ztyłu, mógł strzelać. Gnu padło od jednego strzału, reszta antylop uciekła. Podjechaliśmy bliżej, ażeby załadować naszą zdobycz, co nam przyszło z wielką trudnością i dopiero po ciężkich wysiłkach zdołaliśmy podźwignąć ją do auta.

Noc tymczasem nadchodziła z szaloną szybkością i deszcz rozpadał się nadobre. Zato w obozie zapanowała wielka radość, bo dla nas i dla murzynów było na kilka dni „mnóstwo mięsa". Tymczasem rozpętała się burza i, choć szkód żadnych nam nie wyrządziła, jednak popsuła trochę humory perspektywą dalszej rozmoczonej drogi. Na szczęście jednak, tak jak wszystkie afrykańskie burze, przeszła bardzo prędko, niebo wypogodziło się i zajaśniało miljonami gwiazd. Cunene błyszczała srebrnym, magnetycznym blaskiem, a niezliczone chóry żab ukołysały nas szybko do snu.

Wtorek, 13 października.

Tego dnia wyruszyliśmy z obozu dopiero o 10-ej, gdyż dość długo trwało ściąganie skóry i ćwiartowanie Gnu.

Po fatalnych 30 km. dojechaliśmy do małej osady „Mulongo", gdzie oprócz posterunku „Chefa de Posto" znajduje się wielka mleczarnia w fazie urządzania. Właściciel chce skupywać mleko od murzynów i wyrabiać masło w puszkach.

Z Mulongo zjeżdżamy zupełnie blisko Cunene i, jadąc już jej brzegiem, kierujemy się wciąż na południe. Jest to właściwie droga wozów boerskich, mało przez auta uczęszczana, toteż Michał złościł się na nią i wymyślał dziurom, kamieniom, piaskom i kolcom, które właziły w opony kamionety. Zato krajobraz był śliczny: po lewej stronie Cunene, która dziś jest cała błękitna, spokojna, wesoła, ujęła w zieloną ramę trzcin i traw nadwodnych. Śliczne białe czaple, żórawie, szaro-różowe bociany, liczne gatunki kaczek i wodnych kurek oraz czajki wabią się wśród szuwarów, a moc innych nieznanych ptaków brodzi nad rzeką, lub wolno przelatuje z jednej kępy na drugą. Wszędzie delikatna, żółta trawa, toteż spotykamy coraz liczniejsze stada krów, wołów i kóz, które murzyni pędzą do wodopoju. Po prawej stronie rozpoczyna się już „brussa", z samych cierni i kolczastych krzaków złożona, oraz z chudych akacyj, między któremi sterczą, jak niekształtne wieże, butelkowate pnie i konary baobabów.

Wśród takich właśnie dziwacznych drzew, na małym pagórku rozłożyliśmy tego wieczoru nasz obóz, a w czasie, kiedy murzyni szykowali kolację, łaziliśmy trochę po brussie w poszukiwaniu zwierzyny, ale nic nie widzieliśmy. Zrobiło się już ciemno, więc wróciliśmy pod opiekuńcze skrzydła namiotu, a nocy tej nie żadne straszne, dzikie zwierzęta, lecz małe, krwiożercze moskity śpiewały nam afrykańską kołysankę.

Środa, 14 października.

W nocy padał trochę deszcz, lecz ranek wstał świeży i różowy. Mnóstwo dzikich pentarek i kuropatw biegało niedaleko namiotu, „istny kurnik", jak Michał to nazywał, bo rzeczywiście wcale się nie bały i wolnym truchcikiem, bez pośpiechu przebiegały przez łączkę i przez drogę. Od czasu do czasu, z gęstwiny krzaków odzywał się ostry głos jakiegoś ptaka, który formalnie zdawał się nas przedrzeźniać. Jak taki stwór wrzasnął gdzieś wysoko nad głową, to tak, jakby jakaś ukryta osoba wyśmiewała się i przekomarzała.



Przy antylopie „Gnu", ubitej przez p. Dekańskiego.

Podczas składania namiotu p. Dekański zabił na pobliskiem jeziorku ślicznego błotnego ptaka, o śnieżnem upierzeniu i o bardzo oryginalnym, płaskim dziobie, w formie podobnym do łyżki. Murzyni nawet z podziwem kiwali nad nim głowami. (W „Larousse" jest podobny ptak i nazywa się „*spatule*") *).

I znów droga nasza prowadziła brzegiem Cunene, czasem tylko nieznacznie się od niej oddalając. Bardzo liczne stada bydła szły, lub wracały z wodopojów. Na jednem rozlewisku rzeki wydawało się nam,

---

*) Prawdopodobnie czapla „warzęcha", którą i u nas, choć bardzo rzadko, można spotkać. *(Przyp. Red.)*.

że tysiące białych płaków pływa po wodzie, lecz, podjechawszy bliżej, skonstatowaliśmy, że to są cudowne nenufary — białe i żółte.

Widzieliśmy znowu ślady słoni, bardzo wyraźnie odciśnięte w błocie. Na akacjach wisiało mnóstwo uwitych z suchej trawy gniazd ptasich, które, kołysząc się z lekkim wiaterkiem, podobne były zdaleka do ładnych, żółtych koszyczków.

Upał zrobił się szalony, pęd gorącego powietrza, jak roztopione żelazo, lał się prosto w twarz i wciskał pod powieki. Ale niedługo byliśmy już u celu. Przybywszy od Huambo 634 km., przyjechaliśmy do miasteczka „Mutano" (lecz powszechnie nazywane „Humbi", tak też i my nazywać je będziemy). Położone jest ono o 8 km. od Cunene, wśród piasczystej, pustej równiny, bez kropli wody. Wszędzie szare, cierniste krzaki, małe, przy ziemi rosnące palmy i pokraczne baobaby, a wszystko bezbarwne i beznadziejne. Po wodę mieszkańcy Humbi posyłają beczki wozami lub autami do rzeki, ale zato w mokrej porze Cunene tak rozlewa, że podchodzi pod same miasteczko. Trudno jednak wyobrazić sobie Humbi, jako miasteczko. Ogromny, piasczysty plac, na którym zrzadka rosną baobaby i to daleko od siebie porozrzucane. Administracja, sklep i kilka malutkich, drewnianych domków. Niektórzy mieszkają w budkach, skleconych z deszczułek niektórzy poprostu w namiocie „pod baobabem". Humbi bowiem bardzo ucierpiało podczas wielkiej wojny, kiedy i tu w kolonji walczyli Portugalczycy z Niemcami z sąsiedniej Süd-West Afryki. Rok 1915 był rokiem klęski: głód, choroby, wojna, tak że biali uciekli prawie wszyscy, a murzynów dużo pomarło, inni zaś przenieśli się w spokojniejsze strony. Jak nam opowiadał miejscowy administrator, w jego okręgu liczba czarnych spadła z 60 do 3 tysięcy... Rok ten dobrze zapisał się w pamięci wszystkich, jako straszne „*desastro*".

Już w poprzednim roku rozpoczęła się wojna z Niemcami, lecz przedtem, póki w Europie Portugalja nie wypowiedziała się jeszcze przeciw Niemcom, tu w kolonji pograniczne oddziały Niemców i Portugalczyków żyły z sobą w zgodzie i często zapraszano się nawzajem. Była też między nimi umowa, że kto pierwszy dowie się o wojnie, ten lojalnie zawiadomi przeciwnika. Tymczasem Niemcy dowiedzieli się o tem pierwsi, lecz, choć poprzedniego dnia byli na obiedzie u Portugalczyków, w ich wojskowym pogranicznym posterunku, nie zawiadomili ich o tem i tejże samej nocy, bez ostrzeżenia, napadli na nich i w pień wycięli. Powtarzamy to, cośmy słyszeli od miejscowego mulata, który nam to opowiadał, jako fakt autentyczny (?). Mulat ów, Joakim Almeida, jest jednym z licznych synów Antonia Almeida, dzielnego wodza portugalskiego, który w 1878 r. walczył z murzynami w czasie okupacji i pacyfikacji południa Angoli. (Jak wiadomo, podbój południa Angoli jest bardzo świeży, nie tak, jak północy i wybrzeża, które zostały odkryte i podbite w XV wieku. Pierwsza wyprawa do Angoli miała miejsce w 1485 r.).

Rozpoczęła się w kolonji wojna z Niemcami, a obie białe armje miały za sobą podburzone plemiona murzyńskie, tak że czarni walczyli między sobą. Lecz odbyła się tylko jedna bitwa pod „Naulile", gdzie oddziały portugalskie zostały przez Niemców i murzynów rozbite. Co jednak najciekawsze, oto obaj przeciwnicy, błędnie informowani przez murzynów o wielkich siłach wroga, oddalali się pośpiesznie od pola walki, tak że Portugalczycy uciekli na północo-zachód, do Gambosz. Niemcy zaś na południe, gdzie potem zostali rozbici przez wojska angielskie. Tymczasem w całej tej części Angoli zapanowało zupełne bezkrólewie, z czego skorzystali królikowie murzyńscy, aby mordować białych, jak również aby walczyć między sobą. (I to nie przy pomocy łuków i oszczepów, lecz używając porządnych Mauzerów, dostarczanych ongiś przez Niemców).

W końcu 1915 r. oddziały portugalskie zaczęły powoli wracać na południe, staczając krwawe bitwy z murzynami. Ażeby zrozumieć trudności białych wojsk w walce z tuziemcami, trzeba najprzód dobrze sobie przedstawić miejscowe warunki i tamtejszy klimat. Wielka równina, pokryta kolczastemi krzakami i baobabami, które dają skąpy cień, piach i piach na wszystkie strony, żar, lejący się z nieba i powietrze duszne i parne. Prócz tego brak wody, gdyż, chociaż wielka Cunene przepływa przez te obszary, lecz dopływów ma mało, a i te w suchej porze są wyschnięte. Czasem gdzieś w lesie napotkać można małe jeziorka, t. zw. „*Cassimbo*", lecz i te w bardzo suche lata mają na dnie tylko trochę błota. Oddziały wojskowe nieza wsze mogły trzymać się w pobliżu rzeki, musiały więc wlec za sobą znaczne zapasy wody. Te strony to prawdziwa dzika Afryka i słusznie określił ją jeden z miejscowych misjonarzy, że „większa jest różnica między płaskowzgórzami, a południem Angoli, niż między płaskowzgórzami a Europą".

Najgorsi zaś byli miejscowi murzyni — dzielni, lecz chytrzy i przebiegli. Reokupacja tych chwilowo straconych terenów odbywała się wolno i kosztowała wiele ofiar. W jednym z takich marszów Portugalczycy, którzy jechali wówczas wozami boerskiemi, zatrzymani zostali przez kolczaste zapory, ułożone na drodze i hamujące przejazd. Podczas kiedy rozsuwano te ciernie, ze wszystkich stron wyskoczyli murzyni i zmasakrowali Portugalczyków. Mimo wielu niepowodzeń, zdołali jednak Portugalczycy otoczyć i pobić murzyńskiego króla, który okopał się i bronił w glinianej forteczce nad Cunene..



Wśród baobabów

Umocniwszy swe panowanie nad prawym brzegiem rzeki, przeprawili się Portugalczycy w 1916 r. na drugą jej stronę. Był to wówczas zupełnie dziki, neutralny pas, w którym jeszcze nie było białych, lecz rządził król murzyński, znany ze swego okrucieństwa, „*Mandune*". Werbował on sobie płatne wojska z rozmaitych plemion murzyńskich, a nawet z Rodezji przychodzili do niego ochotnicy. Otóż Portugalczycy zapuścili się w ten dziki i nieznany sobie kraj w liczbie 3-ch tysięcy i zatrzymali się w okolicy dzisiejszego „*posta - Monagua*", gdzie znajdowało się jedyne w tej stronie „*Cassimbo*" (jeziorko), do którego dostępu bronił Mandune z 50-ciu tysiącami czarnych wojowników. Będąc daleko od Cunene, posłali Portugalczycy do rzeki po wodę konwój, złożony z kilkudziesięciu aut, lecz murzyni zrobili zasadzkę, zatrzymali białych i spalili nawet 3 auta. Gdy w obozie skończył się zapas wody, a konwój nie wracał, spragnieni i zrozpaczeni żołnierze poszli do ataku na bagnety i po strasznej walce, która trwała 10 godzin,

rozbili murzynów i zmusili ich do ucieczki, zdobywając jednocześnie „Cassimbo", czyli upragnioną wodę.

Była to pierwsza i ostatnia bitwa z miejscowem plemieniem, które od tej pory uznało się za pokonane. Lecz jeszcze dotychczas murzyni są tam hardzi i niebezpieczni, toteż biali kupcy, którzy udają się na tamtą stronę Cunene po zakup bydła od murzynów, prowadzą swój handel zawsze w jakimś „posto", gdzie znajdują pomoc i opiekę.

Wódz murzyński, Mandune, nie został zabity w tej bitwie i zdołał uciec, lecz w rok potem zginął w walce z Anglikami, a śmierć jego została przyjęta z szaloną radością nawet przez własnych jego poddanych, gdyż był to straszny i krwiożerczy władca nawet dla swoich. Lubił on torturować murzynów, palić ich żywcem, obdzierać ze skóry, rozpłatywać brzuchy, nic więc dziwnego, że nie cieszył się miłością swego ludu.

Wszystkie te historje opowiadano nam wieczorami przy ognisku obozowem, kiedy po upalnym dniu odpoczywaliśmy o wieczornym chłodzie.

W Humbi złożyliśmy wizytę administratorowi, meldując nasz przejazd, potem wyruszyliśmy do Misji katolickiej w Tchuli. Droga w piachu rzeczywiście beznadziejna i ciągle ten sam monotonny krajobraz. Misja — czworobok budynków z wielkiem podwórzem w środku — wydaje się oazą w tej pustyni, żyjącą życiem odrębnem. Kościół wznosi wysoko swój krzyż srebrzysty, a przed domkiem misjonarzy różowią się oleandry, jedyna żywsza barwa w tym nużącym wzrok, jednostajnym krajobrazie.

Misjonarz, francuz z Normandji, *le père Vauloup*, przywitał nas serdecznie i rozpoczęła się rozmowa o kupowaniu krów. W zeszłym bowiem roku Misja z powodu „roku głodu" musiała sprzedawać swoje krowy, aby módz zapłacić za zboże, ale w tym roku wszystko się poprawiło i o sprzedaży niema mowy.

„*Que voulez vous*" — mówi w trakcie dalszej rozmowy Pater ze smutkiem — marzyłem zawsze o apostołowaniu czarnym, o jeżdżeniu po wioskach z katechizacją, ale teraz z powodu braku misjonarzy, jestem tu sam na Misji, nie mam na to czasu i muszę zajmować się temi wszystkiemi ziemskiemi sprawami. Ale to wszystko „na chwałę Bożą" — dokończył z uśmiechem — a zresztą pewno już niedługo przyjedzie inny misjonarz, wtedy będę mógł poświęcić się ukochanemu dziełu.

W tej chwili właśnie odezwał się dzwon na Anioł Pański i Pater pospieszył do kościoła.

Upalny dzień kończył się powoli, słońce skryło się nareszcie, różowiąc niebo i lekkie, płynące po niem chmurki. Ziemia, ludzie, zwierzęta i rośliny zaczęły wreszcie odpoczywać po męczącym dniu, lecz długo jeszcze powietrze i wszystko dokoła było tak rozgrzane, że nie doczekaliśmy się dobroczynnego chłodu. Siedząc na werandzie, słyszeliśmy modlitwy wieczorne, odmawiane chóralnie przez małe murzynięta, wychowanków Misji, a potem dzwonek zawezwał wszystkich na wieczerzę. I my poszliśmy do refektarza, a po kolacji, zaproszeni przez Ojca, przenocowaliśmy w Misji. Mimo zmęczenia, długo nie mogliśmy zasnąć z powodu strasznej duszności powietrza. Nazajutrz Pater mówił nam, że była to najgorętsza noc w roku.

(D. c. n.). MARJA ZAMOYSKA.

NIECO O WIEWIÓRCE.

(Dokończenie).

Gdy panowanie zimy rozszerzy się nad krajem, zdobiąc go w puszyste okrycie śnieżnego całunu, iskrzącego się miljonami ostrych błysków, gdy surowe tchnienie mrozu owionie drzemiącą w letargu naturę, wiewiórka całe dni spędza w swem legowisku, pogrążona w głębokim śnie. Jedynie w pogodne, mroźne ranki, wyzłocone blaskiem słonecznego światła, czworonóg ten wychodzi na przechadzkę po ośnieżonym lesie, w czasie której odwiedza swoje śpiżarnie i raczy się zawartemi w nich specjałami. Spotkać można wówczas wiewiórkę skaczącą po śniegu, lub wspinającą się po drzewach w poszukiwaniu szyszek, z których umie zręcznie wydostawać skrzydlate nasionka, służące jej za urozmaicenie zimowego jadłospisu. W czasie takich wypraw tanecznica leśna jada bardzo obficie, wiedząc z doświadczenia z tej racji, że mogą się zdarzyć długotrwałe wichury i zamiecie, podczas których nie można będzie opuścić gniazda, a przez to czas przymusowego postu może się przewlekać dosyć długo. W ciche, mgliste dni, lub w czasie odwilży wiewiórka wyrusza czasem na poszukiwanie pożywienia, czyni to jednak niechętnie, z konieczności, pod wpływem dokuczliwego uczucia głodu, podczas gdy cisza, lekki mróz i słońce wywabiają ją często z zacisznego schronienia dla samej przyjemności ruchu.

Wogóle wiewiórka jest stworzeniem niezmiernie ruchliwem, wymagającem dla swej egzystencji swobody i przestrzeni. Jej żywioł — to wyniosłe, rozłożyste drzewa, po których uwija się bezustannie, z błyskawiczną szybkością wdrapując się na wierzchołki, to znowu zsuwając się po pniu aż na ziemię, na której jednak nie czuje się bezpieczną, toteż, obejrzawszy się podejrzliwie, kilku susami dopada pobliskiej kolumny drzewnej i mknie ku górze, lub—pierwszej gałęzi, z końca której, odbiwszy się silnie tylnemi łapkami, wykonuje skok na zwisający konar następnego drzewa, by wkrótce, mignąwszy kilkakrotnie pośród gmatwaniny gałęzi—zniknąć w ich gąszczu. O ile po poziomych konarach biega wiewiórka bardzo zręcznie i szybko, o tyle na ziemi posuwa się zawsze tylko dużemi susami, starając się być na niej jak najkrócej.

W czasie przeskakiwania z drzewa na drzewo, dla łatwiejszego zachowania równowagi i utrzymania właściwego kierunku, rozwiera szeroko tylne nóżki, wypręża poziomo ogon, a wyciągniętemi przed siebie przedniemi łapkami chwyta za gałąź i wciąga na nią całe ciało, mknąc bez chwili wahania dalej, w stronę pnia. Zaznaczyć tu należy, że sama natura stworzyła z niej pierwszorzędnego skoczka, bowiem tylne łapki są znacznie dłuższe, przeznaczone do odbijania się przy skoku i posiadają stopy czteropalczaste, podczas gdy krótsze przednie mają 5 palców i przystosowane są do chwytów.



Będzie deszcz... Z serji nagrodzonej II nagrodą i srebrnym żetonem na konkursie fotogr. „Łowca Polskiego"

Fot. W. Puchalski.

Lecz niezawsze takie spacery kończą się szczęśliwie. Włócząc się po kniei, spotyka bowiem często wiewiórka swego najgroźniejszego wroga — kunę leśną, zwaną także tumakiem. Wtedy rozpoczyna się wyścig o cenę życia. Na widok prześladowcy struchlała gajów tanecznica rzuca się do ucieczki, starając się jak najszybciej oddalić z tego miejsca. Ale wygłodzona kuna, nieznajdująca w ośnieżonych ostępach zbyt wiele pożywienia, natychmiast rozpoczyna pościg. Jako większa, silniejsza i niemniej zręczna, zaczyna wkrótce poważnie zagrażać wiewiórce, która zmuszona jest użyć środka ostatecznego. Uciekając przed depczącym jej stale po piętach tumakiem — wiewiórka wdrapuje się na czubek najwyższego drzewa i tam oczekuje na kunę, za zbliżeniem się której daje nieprawdopodobnego susa na ziemię. Zaślepiony żądzą krwi drapieżnik skacze za nią, nie zdając sobie nawet dobrze sprawy z wysokości, z jakiej wykonuje ten skok. Wiewiórka, jako lżejsza, hamując ponadto szybkość upadku przez rozpostarcie łapek i ogona, ląduje stosunkowo lekko i zaraz umyka dalej, tymczasem kuna, jako znacznie cięższa, przy zetknięciu się z ziemią doznaje silnego wstrząsu i chwilowego zamroczenia, pozwalającego wiewiórce ukryć się gdzieś w pobliskiej dziupli, lub w ostateczności choć nieco się oddalić. Kuna, natychmiast po odzyskaniu przytomności — kontynuuje pościg i, o ile wiewiórka nie potrafiła w międzyczasie znaleźć sobie schronienia — staje się zawsze łupem swego prześladowcy. Zresztą trudno jest nawet odszukać w ciągu tych paru minut dziuplę z odpowiednio małym otworem, przez który kuna nie potrafiłaby wcisnąć się do wnętrza, toteż w 2/3 wypadków wiewiórka niefortunne spotkanie z tumakiem przepłaca życiem, chyba że dobrze ukryta zdoła zmylić ślad i wymknąć się pogoni. Wówczas pędzi co tchu do swego gniazda i nie opuszcza go już w ciągu paru dni.

Tak więc śpiąc — to znów naprzemian spacerując w pogodne dni po lesie, przepędza wiewiórka ciężki okres zimy, wyglądając z niecierpliwością ciepłego tchnienia nadchodzącej wiosny.

Nadchodzi luty. I chociaż mróz dusi jeszcze stale w uporczywym uścisku odrętwiałą przyrodę, choć lodowaty wiew studzi odegrzane słońcem warstwy śniegu — czuć jednak już pierwszy, ledwie uchwytny dreszcz wiosny, czuć iskrę budzącego się życia, utajonego narazie i prawie niedostrzegalnego, a przeto tem więcej emocjonującego i radosnego. Maleńka muszka, wirująca krętym lotem w złotym odblysku słonecznego promienia, rozesłanego jasnym płaszczem na lodowej tafli, staccato opasłego dzwońca, rzucającego w przestrzeń swą niefrasobliwą pieśń z brzózki na skraju polanki, perlisty świergot sikory-bogatki — wszystko to mówi, że idzie wiosna, która przemożną dłonią rozerwie zimowe okowy, przywracając życie wszystkiemu, co żyć chce i potrafi.

Ten przejmujący zew wiosny dociera i do wnętrza głębokiej dziupli, elektryzując jej senną mieszkankę. Rusza więc wiewiórka na wędrówkę, a zachęcona ciepłą pieszczotą coraz silniej z dniem każdym dogrzewającego słońca, rozpoczyna swe gody miłosne. Z głośnym chrobotem i piskliwem cmokaniem biegają wtedy czworonogie tancerki po lesie, wdzięcząc się i kokietując wzajemnie. W okresie tym zapominają nawet o głodzie i wypoczynku, włócząc się nieraz po zakątkach kniei, bardzo oddalonych od ich siedzib. Z końcem kwietnia, lub w maju, zależnie od intensywności wiosny, samica wydaje na świat w naprawionem zimowem gnieździe, czy dziupli 3 do 7 ślepych i początkowo nagich młodych, któremi opiekuje się bardzo troskliwie, przenosząc je w razie niebezpieczeństwa w zębach do innego mieszkania. Ogromnie zabawny i rozczulający zarazem przedstawia widok taka matka, dźwigająca w pyszczku, jak domowa kotka, z dużym wysiłkiem swego potomka, już nieraz niewiele ustępującego wzrostem rodzicielce i wykonująca z tem obciążeniem różne akrobatyczne biegi i skoki. Czy ojciec troszczy się o rodzinę i pomaga w jej wychowaniu — nie umiem tego powiedzieć, stwierdziłem jednak, że w pobliżu gniazda z młodemi znajduje się prawie zawsze para wiewiórek. Według zdań naturalistów, wiewiórka miewa młode kilka razy do roku. Ma to miejsce prawdopodobnie w okolicach bardziej południowych, bo np. w północnych powiatach Wileńszczyzny nie zdarzyło mi się nigdy dotąd znaleźć w ciągu lata drugiego miotu. Pierwszy ma tu miejsce zazwyczaj w połowie maja.

Gdy młode nieco podrosną — zaczynają pędzić żywot samodzielny, opuszczając już nazawsze gniazdo i rodzinę. Odtąd prowadzą one niefrasobliwy żywot leśnych baletnic, a okryte zielenią drzewa dostarczają im kryjówek i pożywienia. Kuna leśna ma teraz poddostatkiem jaj i piskląt ptasich, toteż mniej zagraża wiewiórce, a szeroko ulistnione baldachimy leśne chronią ją wyśmienicie przed wzrokiem okrutnego jastrzębia - gołębiarza, może zatem obecnie używać zupełnego spokoju i swobody.



Tokujący głuszec o wschodzie słońca. Pomorze. Fotografja odznaczona srebrnym żetonem na konkursie fotogr. „Łowca Pol."
Fot. Egon Raszke.

W i e w i ó r k a   j e s t   z w i e r z ę c i e m   b e z w z g l ę d n i e   s z k o d l i w e m — m u s i m y   t o   p r z y z n a ć   o t w a r c i e. To, że gromadząc na zimę zapasy, o których często później zapomina, lub gubiąc znoszone żołędzie, czy buczynę, przyczynia się do zasiewania drzew — nie może przecież równać się w żadnym stopniu z wyrządzanemi szkodami, j a k i e   c z y n i   w   g n i a z d a c h   p t a k ó w   ś p i e w a j ą c y c h,   t y c h   n a j w i ę k s z y c h   d o b r o c z y ń c ó w   l a s u, a także niszcząc zębami młode pędy drzewne, korę i pączki. Zaznaczyć bowiem muszę, że w czasie długich i ostrych zim, gdy wyczerpie już wszystkie zapasy pożywienia, żywi się wiewiórka korą, obdartą z gałązek oraz pączkami. Będąc zaś gryzoniem — czuje ustawiczną potrzebę ścierania swych stale rosnących zębów-siekaczy, toteż ścina niemi mnóstwo gałązek, czyniąc duże spustoszenia w młodych pędach drzewnych. Tam, gdzie prowadzi się racjonalny zbiór grzybów, potrafi także ta

ruda baletnica stać się dokuczliwą psotnicą, niszcząc ładnie wyrośnięte, najcenniejsze egzemplarze. Słowem zestawiony bilans zasług i przestępstw wiewiórki musi wypaść ujemnie.

Lecz chociaż z całą szczerością podałem powyżej wszystkie grzechy, ciążące na sumieniu tancerki leśnej — daleki jednak jestem od wydawania na nią, jako na szkodnika, wyroku śmierci. Wręcz przeciwnie, uważam, że wiewiórka, tak jak bocian biały, są bezwzględną, niezastąpioną ozdobą naszych łowisk i pomimo szkodliwości, obu tym mieszkańcom ziem polkich słusznie należy się ochrona. Jakże smutno i bezbarwnie przedstawiały się nasze knieje kilka lat temu, gdy, dzięki dużemu zapotrzebowaniu na modne wówczas skórki wiewiórcze, zwierzątka te zostały bardzo znacznie wytrzebione, a w wielu okolicach wytępione niemal doszczętnie. Jako przykład mogę podać, iż w Wilnie sklepy futrzarskie w lutym 1927 r. płaciły za niewyrobiony smużek wiewiórczy 9 zł. Nic też dziwnego, że tak wysoka cena zachęcała kłusowników i mniej etycznych myśliwych do bezlitosnego tępienia tych łatwych do zdobycia zwierzątek, które w pobliżu Wilna wyginęły naonczas zupełnie. Dopiero wydane potem rozporządzenie Ministra Rolnictwa, zamykające całkowicie polowanie na wiewiórki, zdołało w czas jeszcze uratować sytuację.



Typ przewoźnika z pod Sarn. Z serji odznaczonej bronzowym żetonem na konkursie fotogr. „Łowca Polskiego".
Fot. kpt. M. Szczepański.

Toteż dzisiaj z przyjemnością możemy obserwować rudą tancerkę, której wydłużona sylwetka coraz częściej pojawia się w gąszczach parków i lasów, nęcąc wzrok nasz powabem swych kształtów i harmonją ruchów. Możemy cieszyć się widokiem rozszczebiotanej naszej dziatwy, która, dostrzegłszy na drzewie wiewiórkę, nie posiada się z radości, klaszcząc w drobne rączęta i kaskadą srebrzystego śmiechu wyrażając swą uciechę. I o ile zbyt szybkie rozmnażanie się tych zwierzątek nie zagraża naszym lasom, powinniśmy pobłażliwie spoglądać na obecność kilkudziesięciu wiewiórek w kniei, będących dużem ożywieniem i miłą ozdobą naszego łowiska.

W zakończeniu niniejszego artykułu wypada wspomnieć choć pobieżnie o polowaniu na wiewiórki. Z pośród kilku istniejących sposobów, najbardziej godnem nazwy łowów jest tropienie po śniegu, względnie polowanie z odpowiednio ułożonym psem, oszczekującym wyśledzoną wiewiórkę. Tropienie dla myśliwego - romantyka, lubującego się w ciszy lasu, mąconej niekiedy tylko głosem któregoś z jego mieszkańców, może sprawić nawet dużą przyjemność. Główną atrakcją tych łowów jest urok zimowej kniei i trudność tropienia. Te dwie rzeczy są rekompensatą za banalny, dziecinnie łatwy strzał do siedzącego nieruchomo zwierzątka. Dlatego też godnem pochwały jest używanie na takiem polowaniu małokalibrowego sztucerka, z którego strzał w główkę wiewiórki, tkwiącej na czubku drzewa może już dać pewną emocję strzelecką. Dubeltówka winna być raz na zawsze z tych łowów wykluczona, inaczej moment strzału niweczy i przekreśla wszystkie doznane dotychczas wrażenia.

W pogodny ranek zimowy, pełen złotej pieszczoty słonecznych blasków, drgających powodzią iskier na szeroko rozesłanych śnieżnych makatach, udajemy się do lasu. Bujna ponowa przed kilkunastu godzinami pokryła ziemię puszystą pierzyną, zawisła grubą okiścią na drzewnych konarach i przyziemnych krzewinach, przyginając je nisko swoim ciężarem. W ciszy leśnej słychać czasami tylko perlisty szmer osypującego się z gałęzi śniegu, który, rozproszony lekkim powiewem, uderzy nas w twarz setką drobniutkich szklistych igiełek. Niekiedy większy, zlodowaciały płat z cichym chrzęstem wpadnie w głęboką zaspę i znowu wszystko ucichnie.

Lustrując wytężonym wzrokiem nieskazitelną biel leśnego podłoża, dostrzegamy nagle na jego powierzchni charakterystyczny trop wiewiórki. Kilka dużych susów, skierowanych ku pobliskiemu drzewu i koniec. Ślad się urywa, a nas oczekuje teraz trudne, ale i emocjonujące zadanie, tropienie zwierzątka, posuwającego się po drzewach. Rozglądając się bacznie po puszystym śniegu widzimy nagle skrawek zdartej kory, dalej kawałek uschłej, złamanej gałązki. Niewątpliwie są to sprawki wiewiórki, która, myszkując po gałęziach, strąciła to wszystko na ziemię. Ale innych śladów jej obecności niema. Napróżno krążymy dookoła drzew, napróżno wytężamy słuch, czy jakiś szelest nie zdradzi nam miejsca pobytu zwierzątka; jedynie posępna cisza jest odpowiedzią. W którą zatem udać się stronę? Zaczynamy więc zataczać dokoła tego miejsca coraz szersze kręgi i oto znowu jesteśmy na tropie: kępka zszarzałych porostów i jeszcze dalej widnieje porzucona nadgryziona szyszka. A oto przypuszczalne siedlisko naszej zwierzyny. W wyzłoconym promieniami słońca pniu sosny widnieje otwór dziupli. Na śniegu drobne okruchy zdartej pazurkami zwierzątka kory świadczą o obecności lokatorki w domu. Zeschłym patykiem uderzamy kilkakrotnie w pień drzewa i oto niby tknięta iskrą elektryczną — wyskakuje szara, otulona zimowem futerkiem wiewiórka. Siada na gałęzi, przykrywa się płaszczem ogona, spogląda wdół... Cienka lufa sztucerka skierowuje się ku górze i cichy strzał ładunku bocznego ognia mąci na krótko ciszę. To już finał.

Trzykrotnie brałem udział w specjalnie organizowanych łowach na wiewiórki, każdy raz polując w inny sposób. Nie nęci mnie coprawda i nie zachwyca to polowanie, opisany jednak powyżej rodzaj łowów wydał mi się stosunkowo najbardziej emocjonującym. Łowy z psem, oszczekującym odnalezioną wiewiórkę, jak również strzelanie do przygodnie w czasie włóczęgi myśliwskiej napotkanych tych zwierzątek — są mojem zdaniem, odpowiednie tylko dla bardzo niewybrednych, pospolitych strzelaczy i kłusowników. Zresztą — to rzecz gustu. Uważam jednak, że oba te sposoby, jak wogóle polowanie na taką zwierzynę, zbyt mało dają prawdziwemu myśliwemu zadowolenia, by warto było urządzać łowy na wiewiórki.

LEOPOLD PAC-POMARNACKI.

JESZCZE O JELENIACH.

W jednym ze swych niezwykle ciekawych artykułów p. inż. T. Śliwiński poruszył sprawę badań nad żywieniem się jeleni i związku, istniejącego pomiędzy żywieniem, a rozwojem poszczególnych cech zewnętrznych tych szlachetnych zwierząt.

Nie pretendując do znawstwa życia i żywienia jeleni, obawiam się, iż uwagi moje w tej sprawie wydać się mogą powtarzaniem rzeczy dobrze znanych i zbyt śmiałem odezwaniem się tam, gdzie głos zabierać winni jedynie wybitni fachowcy. Uwzględniając jednak tę okoliczność, iż uwagi te mogą również trafić do rąk najmłodszych adeptów z pod znaku św. Huberta, dla których nawet elementarne wiadomości z dziedziny hodowli przynieść mogą pewien pożytek, odzywam się w odpowiedzi na apel p. inż. T. Śliwińskiego, pragnąc dołożyć swoją cegiełkę do tych myśli i spostrzeżeń, które kiedyś złożą się na monografję polskiego jelenia.

Obserwując zbliska życie sarn i jeleni, nie zdarzyło mi się nigdy zauważyć, by jelenie, lub sarny systematycznie wybierały jakieś poszczególne rośliny, któreby stanowiły ich wyłączne pożywienie. Niewątpliwie są miejsca ulubione przez nie, a więc te, gdzie znajdują się rośliny, które stanowią ich ulubiony przysmak, niemniej jednak żerowanie ich nie nosi charakteru „pasienia się" takiego, jak to ma miejsce u krów. U jeleni wygląda to raczej na skubanie tych lub innych roślin, co robią, przechodząc od jednej rośliny do drugiej i wciąż je zmieniając, jakby dobierając sobie tę właśnie mieszankę ziół i roślin, które najbardziej w danym okresie odpowiadają ich potrzebom fizjologicznym, wogóle zaś, chodząc po lesie, zarówno sarny, jak też jelenie, jakby od niechcenia, wciąż skubią po drodze różne napotykane rośliny.

Niejednokrotnie zastanawiało mnie spożywanie przez jeleni roślin, które wydawaćby się mogły zupełnie nieodpowiedniemi na ich pożywienie, podczas gdy przechodziły obok soczystych i najlepszego gatunku traw łąkowych, nie zwracając na nie uwagi.

Pewnego dnia zauważyłem kilka jeleni, które spotykałem w czasie żerowania wieczorem w pewnem miejscu, gdy, stojąc dość długo obok jałowca, obgryzły zeń szpilki i korę tak starannie, że pozostały jedynie badyle. Obok znajdowała się łączka, pełna soczystej słodkiej trawy, która nie wzbudziła zainteresowania jeleni. Powyższe zmusza mnie do wypowiedzenia zdania, iż niezmiernie trudnem byłoby ustalenie tego doboru roślin, których hodowla mogłaby współdziałać w fizycznym rozwoju jeleni. Wszystko co możnaby zrobić w tym celu, będzie, według mnie, paliatywem i dożywianie jeleni zawsze pozostanie półśrodkiem, tembardziej, iż przy niezwykłej ich żarłoczności należyte zaopatrzenie stołu w przeciągu całej zimy przekracza, zwłaszcza w obecnych czasach, możliwości właścicieli łowisk.

Że wszystkich ssaków chyba tylko jelenie i im pokrewne gatunki przeżywać muszą te niesłychanie skomplikowane procesy fizjologiczne, które w bardzo krótkim okresie czasu doprowadzają do zmiany i ukształtowania nowego poroża, ogromnie rozwiniętego, o bardzo przytem znacznej wadze. Przy tego rodzaju intensywnym procesie fizjologicznym organizm stawiać musi ogromne wymagania w stosunku do pożywienia, gdyż musi wchłonąć bardzo znaczne ilości zawartych w niem części mineralnych i przetworzyć ogromną ilość różnorodnych substancyj.

Pozwalam sobie wypowiedzieć zdanie, iż na tego rodzaju skomplikowane procesy, na które organizm zwierzęcia ma względnie bardzo mało czasu, muszą oddziaływać najróżnorodniejsze czynniki, przez co też muszą tu następować zjawiska, znajdujące niewątpliwie swe odbicie w takiem lub innem ukształtowaniu nietylko poroża, lecz całego exterieur'u zwierzęcia. Bytowanie gatunku, zamieszkującego z pokolenia w pokolenie pewną okolicę, w mniej lub więcej dodatnich warunkach wyżywienia, odbić się musi na kształtowaniu zewnętrznych cech osobników i stąd ta różnorodność form i cech, którym literatura łowiecka i różni autorzy starają się nadać specjalne nazwy, mające wyodrębnić i stworzyć poszczególne rody.

Elementarną zasadą powstawania ras i gatunków jest, poza doborem naturalnym, wpływ terenu, na którym odbywa się bytowanie, warunki wyżywienia, pośka oraz wpływy atmosferyczne. Gdy zasady te przyjąć, jako aksjomat naukowy, zastanawianie się nad wyjątkowem skomplikowaniem życia rodziny jeleni, w związku z tworzeniem się poroża, doprowadzić musi do wniosków, że często ma się do czynienia z tem, co nosi miano polimorfizmu, następującego jako naturalne zjawisko i konsekwencja ogromnej różnorodności warunków, w których bytować muszą nasze jelenie.



Trofeum Benedykta hr. Tyszkiewicza (sen.) w dobrach Skolniki.
Fot. Br. Daszkiewicz

Ilustrując powyższe uwagi, dotyczące wpływu warunków bytowania na rozwój zwierząt racicowych, pozwolę sobie przytoczyć znany fakt sprowadzenia do szkoły rolniczej w Humaniu bydła Algauskiej rasy, którego cechą, jak wiadomo, są bardzo krótkie rogi. Bydło to, po wypuszczeniu i przetrzymaniu go na pastwiskach typu stepowego, obfitujących w perz, charakterystyczny dla ukraińskich i chersońskich pastwisk, po paru latach zmieniło zupełnie swe rogi, które rozrastały się w ogromnie długie, typowe rogi bydła stepowego.

W roku 1907 w Rosji z polecenia ministerstwa rolnictwa dokonano badań naukowych w celu wyjaśnienia przyczyn, wywołujących degenerację Romanowskiej owcy, której siedliskiem rozwojowem był, jak wiadomo, powiat romanowsko-borysoglebski jarosławskiej guberni. Zastanawiająca była ta okoliczność, iż owca ta, rozwijająca się świetnie w roma-

nowskiej części powiatu, dająca tam przytem świetne runo i sześć sztuk potomstwa rocznie, w części powiatu borysoglebskiej wyradzała się zupełnie, dając potomstwo zdegenerowane, w mniejszej ilości i runo ze zmniejszoną ilością puchu, ze znaczną ilością grubej i twardej ości, przy jednoczesnem obniżeniu przeciętnej żywej wagi.



Z tegorocznego wabu łosi w Rzepichowszczyźnie. Byk (7 pas.) p. Teodora Endera

Dokonane badania ustaliły, iż powiat romanowsko-borysoglebski, rozdzielony na dwie części przez Wołgę, posiada wręcz odmienne warunki topograficzne, w tych swoich dwóch, przeciętych rzeką, częściach. Część romanowska powiatu, górzysta, zajmuje wysoko wzniesiony brzeg Wołgi, obfituje w pastwiska o doskonałym zespole traw słodkich, przepływające zaś przez tę część powiatu strumienie zawierają doskonałą wodę do picia. Jednocześnie borysoglebska część powiatu, leżąca na przeciwległym brzegu Wołgi, przedstawiała na całym swym obszarze rozległą, zabagnioną nizinę, rokrocznie zalewaną przez wiosenne i letnie wylewy rzek, 90% zaś traw pastwiskowych stanowiły różne gatunki osok i kwaśne trawy, nieprzedstawiające żadnych wartości pokarmowych. Analiza traw dała odpowiedź na zagadnienie, które było podstawą badań, sprawdzianem zaś słuszności spostrzeżeń była ta okoliczność, iż statystyka hodowli koni w Rosji wykazała, że przeciętnie najwyższe konie rosyjskie, hodowane w warunkach wychowu włościańskiego, były produktem hodowlanym romanowskiej części powiatu romanowsko - borysoglebskiego.

Tego rodzaju przykładów dałoby się przytoczyć wiele, myślę jednak, iż te właśnie przykłady prymitywnego chowu, gdzie wyłącznie oddziaływały naturalne warunki żywienia, wytworzone poza ingerencją myśli i pracy ludzkiej, wystarczą dla zobrazowania moich wniosków.

Wracając więc do jeleni, wyrażam przekonanie, iż różnice, które zauważyć się dają w rozwoju poszczególnych cech naszych jeleni, uzależnione są całkowicie od warunków ich wyżywienia. Stąd więc powstać musiała różnica między jeleniem nizinnym i górskim, tembardziej, iż te ostatnie w swej walce o byt posiadają pierwszorzędne, o doskonałym zespole traw, pastwiska, nie mówiąc już o urodzajach nasion buka i dębu, gdy nizinne zadowalniać się muszą słabszemi pastwiskami, na których spotykają jednocześnie współzawodnictwo innych zwierząt, a nieraz znajdują się w łowiskach w ilościach, przekraczających normy, odpowiadające ilościowo obszarowi, z którego muszą się wyżywić. Do tego dodać muszę, iż tereny, na których przebywa jeleń nizinny, obfitują w znaczną ilość pasorzytów, z któremi nie mają do czynienia jelenie górskie, które pozatem poiska mają wyłącznie w szybkich górskich potokach. W nizinach zaś obszerne nieraz tereny posiadają poiska przeważnie w bagienkach, bajorach i innych zbiornikach o stojącej wodzie, przepełnionej szkodliwemi pasorzytami i drobnoustrojami, pomijając rozwój much, ślepni, komarów i innych podobnych owadów, stanowiących plagę nizinną. Pastwiska, na których życie swe pędzą jelenie nizinne, nie zawierają traw, obfitujących w te części składowe, które są koniecznie potrzebne dla normalnego rozwoju jeleni, gdyż glebom z tych terenów najczęściej brakuje wapna, gleby te są często kwaśne i wilgotne, stąd też wniosek, iż jeleń nizinny, mając o wiele gorsze warunki istnienia od górskiego, jest w stosunku do niego degeneratem.

Aczkolwiek wysiłki poszczególnych hodowców, dzięki selekcyjnemu odstrzałowi i dożywianiu, doprowadzają do mniej lub więcej pozytywnych wyników, nie myślę jednak, by to, co wytwarza wciąż pogarszająca się konjunkturę bytowania jeleni nizinnych, mogło być naprawione pracą ludzką, która może powstrzymywać, lecz nie jest w stanie całkowicie usunąć wielu wpływów i trudności nie do zwalczenia. Dlatego nie uważałbym za wskazane unikanie domieszki krwi jelenia górskiego w naszych łowiskach, uważam go bowiem za typ silniejszy i bardziej zbliżony do pierwotnego jelenia. Nie przypuszczam, żeby domieszka silniejszego prądu krwi mogła dać ujemne wyniki w przeiawach atawistycznych, odwrotnie, liczę raczej na obudzenie się drzemiących prądów tejże krwi w jeleniu nizinnym i na pozytywne wyniki jej odświeżenia.

Spotykając w Puszczy Iłżeckiej jelenie obu typów, odróżniam wyraźnie odbijające się siłą i budową sztuki o typie górskim. Witam je zawsze radośnie, jako protoplastów odrodzonych i wzmocnionych pokoleń.

J. PIEROŻYŃSKI.

Ś. P. WACŁAW ŚWIĘTORZECKI.

Łowiectwo ziem północno - wschodnich poniosło stratę bolesną, niepowetowaną: zgasł w sile wieku ś. p. Wacław Świętorzecki, jeden z założycieli i długoletni członek Towarzystwa Łowieckiego Ziem Wschodnich. Zmarł po ciężkich, okrutnych cierpieniach, strawiony straszną chorobą, która w tym silnym i, zdawałoby się — niespożytym organizmie wywiązała się nagle i nieoczekiwanie. Kirem prawdziwej, bolesnej, serdecznej żałoby okrył się sztandar Łowiectwa Wschodniego... Jeszcze tak niedawno, bo wiosną r. b. uroczyście wręczaliśmy Mu odznakę Złotego Medalu Zasługi Łowieckiej za wybitne trudy na polu hodowli zwierzyny, jeszcze latem gwarzyliśmy z Nim o projekcie, który był ostatniem marzeniem Jego życia łowieckiego: o założeniu w rodzinnej Jego Jachimowszczyźnie stacji hodowli i tresury rasowego psa myśliwskiego... Śmierć okrutna i przedwczesna okryła żałobą zdobyte już laury, unicestwiła w zarodku śmiałe i piękne projekty.

Rzedną kadry myśliwych „przedwojennych", myśliwych starego autoramentu... Zmarły pochodził ze sławnej rodziny myśliwskiej, od czasów niepamiętnych osiadłej w Wileńszczyźnie. Piękne tradycje łowieckie rodu Świętorzeckich sprawiły, że nie było dosłownie myśliwego na Kresach, dla którego samo brzmienie tego nazwiska nie kojarzyło się z najczyst-

szemi, najszlachetniejszemi elementami łowiectwa. Nazwałem Zmarłego „myśliwym starego autoramentu": był nim w każdym geście; w każdem słowie spokojnej, zwięzłej, opanowanej mowy. Wychowany w atmosferze rykowisk łosi i polowań na niedźwiedzie, kiedy to jeszcze oszczep — obok innych utensyljów łowieckich — stanowił ozdobę komnaty myśliwskiej w każdym pałacu i dworze kresowym, miał dla współczesnych, przeobrażonych i zmodernizowanych pojęć o myślistwie dużo zrozumienia, okraszonego łagodnym humorem i pewnem dobrotliwem pobłażaniem. Miał jednak duszę młodą i nie zaśniedział w stanie wzdychania do „starych, dobrych czasów", jak to zwykli byli czynić inni myśliwi „przedwojenni". Rozumiał i cenił postęp na każdem polu: — rozumiał go i cenił na polu łowiectwa. Hodowlę drobnej zwierzyny podniósł w swej Jachimowszczyźnie do poziomu wręcz, jak na stosunki kresowe, rekordowego. Jednocześnie dawał przykład karności organizacyjnej, był stałym i systematycznym czytelnikiem pism myśliwskich, prowadził od lat szeregu nowoczesną tresurę wyżłów, których wielka wartość użytkowa rozgłosiła Jego imię daleko poza granice Wileńszczyzny... A trzeba wiedzieć, że Zmarły był przedewszystkiem rolnikiem, który pracą wręcz nadludzką podźwignął z ruin wojennych swą Jachimowszczyznę, potrafił ją w czasach tak ciężkich i niewdzięcznych nietylko odbudować, lecz uprzemysłowić i zmodernizować i warsztat ten, położony na wschodniej rubieży państwa i trzykrotnie zrujnowany doszczętnie przez zawieruchę wojenną, postawić na poziomie wręcz europejskim. Dla Zmarłego więc było łowiectwo zajęciem jedynie „dodatkowem", a jednak wkładał weń tyle pracy i tyle serca, że właśnie to łowiectwo rozsławiło Jego imię wśród myśliwych kresowych i naostatek pracowitego, zacnego, szlachetnego żywota ozdobiło go laurem doczesnym, o który w swej wielkiej skromności nigdy nie zabiegał.

Cześć Jego pamięci!

M. K. P.

UZUPEŁNIENIE TABLICY OCHRONNEJ NA 1935 r.

Ostatnio obowiązujący czas ochronny dla niedźwiedzi i rysi ustanowiony był przez Ministra Rolnictwa i R. R. na przeciąg czasu, który ekspiruje 31 b. m.

Obecnie ukazało się nowe rozporządzenie Pana Ministra Rolnictwa i R. R. w tym przedmiocie na przeciąg dalszych 3-ch lat, które przytaczamy w dosłownem brzmieniu.

Zaznaczamy, że, wydając „Kalendarz myśliwski" na 1935 r., który od kilku już tygodni jest w sprzedaży, w tabeli czasów ochronnych dla zwierzyny na 1935 r. zastrzegliśmy możliwość zmiany czasu ochronnego dla niedźwiedzi i rysi, odsyłając nabywców „Kalendarza" do ogłoszenia w „Łowcu Polskim" nowego rozporządzenia, jakie może nastąpić.

Zwracamy uwagę myśliwych, że, jak wskazuje to nowe rozporządzenie, czas ochronny dla niedźwiedzi pozostał bez zmiany, natomiast czas ochronny dla rysi został przesunięty i skrócony o pół miesiąca.

ROZPORZĄDZENIE

Ministra Rolnictwa i Reform Rolnych z dnia 12 listopada 1934 roku o wprowadzeniu czasu ochronnego dla niektórych zwierząt łownych.

Na podstawie art. 51 ust. 1 pkt. c rozporządzenia Prezydenta Rzeczypospolitej z dnia 3 grudnia 1927 r. o prawie łowieckiem (Dz. U. R. P. Nr. 110, poz. 934), w brzmieniu, ustalonem rozporządzeniem Prezydenta Rzeczypospolitej z dnia 11 lipca 1932 r. (Dz. U. R. P. Nr. 67, poz. 622), zarządzam co następuje:

§ 1. Wprowadza się czas ochronny dla
niedźwiedzi od 15 stycznia do 15 grudnia;
rysi od 15 lutego do 31 grudnia.

§ 2. Rozporządzenie niniejsze wchodzi w życie z dniem 16 grudnia 1934 r. i obowiązuje do dnia 31 grudnia 1937 r.

Minister Rolnictwa i Reform Rolnych: *J. Poniatowski.*

Z POLSKIEGO ZWIĄZKU STOWARZYSZEŃ ŁOWIECKICH.

PROTOKÓŁ POSIEDZENIA ZARZĄDU ZWIĄZKU Z DNIA 5 LISTOPADA 1934 ROKU.

Obecni pp.: Prezes gen. dyw. Kazimierz Sosnkowski, Wiceprezesi: Konstanty Chłapowski, gen. dyw. Kazimierz Fabrycy, Maurycy hr. Potocki, inż. Leopold Skulski, Przew. Wydziału Wykonawczego Wacław Szperling. Członkowie Zarządu: Olgierd ks. Czartoryski, min. Mikołaj Dolanowski, red. Walenty Garczyński, Bohdan Gędziorowski, inż. Jan Grabowski, inż. Herman Knothe, szamb. Tomasz Komierowski, dr. Adam Lordemer, Czesław Lisowski, dr. Jan Łukowicz, Michał Pawlikowski, inż. Adam Romanowski, gen. Stanisław Skrzyński, Józef Skrzypek, Kazimierz Świderski, inż. Kazimierz Tołłoczko, Aleksander Ulm, mec. Aleksander Tallen Wilczewski, dr Józef Żenczykowski, Jan Żukotyński.

Sekretarzował Jerzy Bokiewicz.

Porządek obrad był następujący:

1. Zatwierdzenie protokółu posiedzenia Zarządu z dnia 2 czerwca r. b.
2. Zatwierdzenie protokółu posiedzenia Wydziału Wykonawczego z dnia 20 września r. b.
3. Pismo Ministerstwa Rolnictwa i Reform Rolnych z dnia 2 października r. b. Nr. L. IV 2/14.
4. Sprawy delegatów Związku.
5. Sprawa pretensyj wystawców III-go Pokazu Trofeów Łowieckich.
6. Odznaczenia łowieckie.
7. Ustalenie składu Sekcji Ochrony Niedźwiedzia przy P. Z. S. Ł.
8. Organizacja Sekcji Ochrony i Hodowli Jelenia przy P. Z. S. Ł.
9. Sprawozdanie finansowe Związku i „Łowca Polskiego".
10. Sprawozdanie Komisji Propagandowej.
11. Plombowanie zwierzyny bitej (wniosek Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego).
12. Projekt dalszego ulepszenia „Łowca Polskiego".
13. Sprawy bieżące.
14. Wnioski.

Przyjęto do wiadomości usprawiedliwienie nieobecności na posiedzeniu Zarządu pp.: prezesa Bolesława Świętorzeckiego, prezesa Juljusza hr. Bielskiego, Marjana Chrzanowskiego, min. Marjana Zyndram Kościałkowskiego, inż. Wacława Paczkowskiego, Romana hr. Potockiego, Władysława Słonczyńskiego i Franciszka Unruga.

W porządku dziennym punkty 7 i 8 postanowiono rozpatrzeć łącznie, a punkt 10 po rozpatrzeniu punktu 12.

Zarząd Związku zatwierdził bez poprawek protokół posiedzenia Zarządu z dnia 2 czerwca r. b. oraz protokół posiedzenia Wydziału Wykonawczego z dnia 20 września r. b.

Pismo Ministerstwa Rolnictwa i Reform Rolnych z dnia 2 października r. b. Nr. L. IV 2/14 w sprawie czasu ochronnego dla niedźwiedzi zreferował p. red. Garczyński. Po dyskusji, w której wypowiedzieli się pp.: Prezes gen. Sosnkowski, gen. Fabrycy oraz Ulm, Zarząd Związku przekazał pismo to Wydziałowi Wykonawczemu celem udzielenia odpowiedzi, po zasięgnięciu opinji Sekcji Ochrony Niedźwiedzia przy P. Z. S. Ł.

Zarząd Związku mianował delegatami Związku:

w województwie kieleckiem:

Karnauchowa Walerjana, Kielce, Warszawska Nr. 20, na powiat i miasto Kielce,

Platera hr. Ludwika, Bialaczew, na powiat Opoczno;
w województwie lubelskiem:
Rozmusa Jana, sędziego, Tomaszów Lub., na powiat Tomaszów Lub.;
w województwie warszawskiem:
Morawskiego Tadeusza, Gostynin, Koszelew, na powiat Gostynin,
Krzymowskiego Pawła, Płock, Blichowo, na powiat Płock;
w województwie wołyńskiem, zgodnie z wnioskiem Wołyńskiego Stowarzyszenia Łowieckiego, jako Oddziału Związku:
Adamskiego Edmunda, Horochów,
Starczewskiego Stanisława, Wojnica, Chołopecze,
dr. Stefanowskiego Piotra, Beresteczko,
Zwolskiego Stanisława, kom. pol. państw. w Horochowie wszystkich na powiat Horochów;
Hopkę Antoniego, Ratno, Nadleśnictwo Smolna,
płk. Turkowskiego Marjana, Kowel, 27 P. A. P. obydwu na powiat Kowel;
Kierskiego Jana, Pulemiec, Rostań, na powiat Luboml;
Postolkę Tadeusza, Klewań, Nadleśnictwo, na powiat Równe;
płk. Chodakowskiego Symeona, Zdołbunów, Okólna Nr. 10,
Latawca Bolesława, Mizocz, Spasów, obydwu na powiat Zdołbunów;
w województwie krakowskiem, zgodnie z wnioskiem p. starosty powiatowego w Tarnowie oraz opinją Oddziału krakowskiego Małopolskiego Towarzystwa łowieckiego.
inż. Hullego Karola, Mościce, na powiat Tarnow.

Na wniosek p. starosty powiatowego w Kobryniu (województwo poleskie), zatwierdzono kandydaturę ks. Juljana Puzyny (Stryhów), na delegata Związku w powiecie Kobryń.

Przychylając się do wniosku delegata Związku w powiecie i m. Kalisz, p. Roszewskiego, postanowiono wyrazić staroście powiatowemu w Kaliszu, p. Ostaszewskiemu, podziękowanie za skuteczne zwalczanie przestępstw łowieckich. Treść okólnika p. starosty kaliskiego postanowiono ogłosić w „Łowcu Polskim".

W sprawie pretensyj wystawców III Pokazu Trofeów Łowieckich, zabrał głos p. gen. Fabrycy, oświadczając, iż, jakkolwiek pretensje te pozbawione są podstaw istotnych, to jednak mają one pozory słuszności wobec błędu, popełnionego przez Komitet Organizacyjny Pokazu, a polegającego na tem, że Komitet nie ogłosił wyraźnie, jakie opłaty obejmuje asekuracja eksponatów i z jakich składa się ona pozycyj. Z tego względu, dla ostatecznego zakończenia tej sprawy, p. gen. Fabrycy, jako Przewodniczący Komitetu Organizacyjnego Pokazu, odpowiedzialność za ten błąd bierze na siebie i gotów jest osobiście zwrócić roszczącym pretensje wystawcom różnicę między pobranemi przez zaliczenie sumami i efektywnym kosztem asekuracji.

P. dyr. Gędziorowski, jako referent tej sprawy, raz jeszcze uzasadnia bezpodstawność roszczeń. Pobrane od wystawców przez zaliczenie pocztowe kwoty stanowiły zwrot efektywnych kosztów asekuracji i związanych z nią zabezpieczeń (pilnowanie w czasie przewozu w Warszawie oraz w czasie trwania Pokazu). Straty, jakie Pokaz przyniósł, bynajmniej nie były w kwotach, rozłożonych na wystawców, uwzględnione. Podzielając pogląd p. gen. Fabrycego, że popełniony przez Komitet Organizacyjny błąd, w formie przeoczenia i nieogłoszenia o tych kosztach w blankietach zgłoszeniowych, nadaje pretensjom pozory słuszności, p. dyr. Gędziorowski wnosi, aby sumę tych roszczeń pokryć z funduszów Związku.

P. gen. Fabrycy uznaje, że jedynem zakończeniem tej sprawy będzie osobiste przezeń pokrycie pretensyj wystawców.

P. płk. Chłapowski oświadcza, że ze swych pretensyj rezygnuje, musi jednak stwierdzić, iż poszczególni wystawcy są ogromnie zniechęceni, co może odbić się niekorzystnie na przyszłych Pokazach.

P. Prezes gen. Sosnkowski stwierdza, iż przyczyną pretensyj był istotnie formalny błąd ze strony Komitetu Organizacyjnego Pokazu. Nieprzewidziane koszty zaskoczyły wystawców, stąd też roszczenia ich są pod względem prawnym słuszne. Punkt ciężkości całej sprawy leży jednak gdzieindziej. Pokaz, urządzony z okazji Zjazdu Międzynarodowej Rady Łowieckiej, był imprezą ideową, zorganizowaną ku chwale łowiectwa polskiego i dla propagandy naszego kraju. Pokaz spełnił swą rolę, roznosząc po świecie sławę naszych zwierzostanów, terenów łowieckich Polski, podnosząc nazewnątrz powagę zorganizowanego łowiectwa polskiego. Smutnym przeto objawem, świadczącym o słabej zwartości i solidarności ideowej naszego łowieckiego światka, jest burza, podniesiona z powodu drobnych stosunkowo dopłat, smutnym tembardziej, iż w niektórych wypadkach roszczenia były zgłaszane w formie, godzącej w powagę Związku. P. Prezes gen. Sosnkowski podziela całkowicie pogląd p. gen. Fabrycego, że należy zakończyć definitywnie tę dokuczliwą i niewesołą sprawę, stojąc jednak na straży funduszów Związku, nie może akceptować wniosku p. Gędziorowskiego. Z drugiej strony, nie mogąc dopuścić, aby jednostka ponosiła ofiarę materjalną za cały ogół, p. Prezes oświadcza, ze względów solidarności koleżeńskiej i ideowej, gotowość osobistego partycypowania w pokryciu zgłoszonych pretensyj.

Gotowość udziału w pokryciu tych roszczeń zgłosili również pp.: min. Skulski, Żukotyński, red. Garczyński, min. Dolanowski, Gędziorowski, dr. Lardemer, gen. Skrzyński, Szperling, ks. Czartoryski, szamb. Komierowski, hr. Potocki, dr. Łukowicz, dr. Żenczykowski, inż. Tołłoczko, inż. Grabowski, inż. Romanowski, Pawlikowski, Świderski, mec. Tallen Wilczewski, Skrzypek oraz imieniem Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego Ulm.

Postanowiono ogłosić w „Łowcu Polskim" komunikat w tej sprawie do wiadomości ogółu społeczeństwa łowieckiego.

Zarząd Związku rozpatrzył następnie wnioski o odznaczenia łowieckie, nadając:

Złoty Medal Zasługi Łowieckiej.

Dr. Józefowi Żenczykowskiemu, członkowi Zarządu Związku, delegatowi P. Z. S. Ł. na powiat Płock, woj. warszawskiego, za wybitną działalność ideową na polu łowiectwa;

Płk. Bronisławowi Adamowiczowi i płk. Michałowi Niedźwiedzkiemu, delegatom P. Z. S. Ł. na powiat Grodno, woj. białostockiego, za wybitną działalność na stanowiskach delegatów P. Z. S. Ł.;

Michałowi Kawelinowi, delegatowi P. Z. S. Ł. na powiat Białystok, woj. białostockiego, za wybitną działalność na stanowisku delegata P. Z. S. Ł.;

Inż. Józefowi Zagórskiemu, b. dyrektorowi Lasów Państwowych w Toruniu, za wybitne zasługi około rozwoju łowiectwa w lasach Dyrekcji toruńskiej;

Alojzemu Pruszakowi, delegatowi Związku na powiat Chojnice woj. pomorskiego, członkowi Pomorskiego Towarzystwa Łowieckiego, za wybitne zasługi na polu łowiectwa i hodowli psów myśliwskich;

Michałowi Bernakiewiczowi, delegatowi Związku na wszystkie powiaty woj. pomorskiego, członkowi Pomorskiego Towarzystwa Łowieckiego, za wybitne zasługi na polu organizacji łowiectwa;

Wacławowi Rogińskiemu, dyrektorowi Lasów Państwowych w Siedlcach, za długoletnią skuteczną działalność na polu hodowli zwierzyny;

Żelisławowi Januszkiewiczowi, staroście powiatowemu w Bielsku Podlaskim, za szczególne popieranie interesów łowiectwa i skuteczne zwalczanie przestępstw łowieckich;

Aleksandrowi Knothemu, za wybitną działalność na polu hodowli zwierzyny.

Srebrny Medal Zasługi Łowieckiej

Stefanowi Russlowi, delegatowi P. Z. S. Ł. na powiat Bielsk Podlaski woj. białostockiego, za działalność na stanowisku delegata P. Z. S. Ł.;

Wincentemu Piotrowi Darnikiewiczowi i Włodzimierzowi Ulatowskiemu, leśniczym Nadlenictwa Państwowego Koło, za energiczne i skuteczne zwalczanie kłusownictwa i wnykarstwa;

Janowi Walentowiczowi, leśniczemu Nadleśnictwa Państwowego Lida, za energiczne i skuteczne zwalczanie kłusownictwa;

Emilowi Teyslerowi, leśniczemu Nadleśnictwa dóbr Jabłonna — Nieporęt, za gorliwą działalność w zakresie hodowli zwierzyny oraz skuteczną walkę z kłusownictwem.

Bronzowy Medal Zasługi Łowieckiej

Antoniemu Hartmanowi i Henrykowi Trojanowi, gajowym Nadleśnictwa dóbr Jabłonna — Nieporęt, za gorliwą pracę hodowlaną oraz energiczną i pełną poświęcenia walkę z wnykarstwem i kłusownictwem;

Janowi Cieślakowi i Władysławowi Wójcikowi, gajowym

Nadleśnictwa dóbr Jabłonna — Nieporęt, za gorliwą 30-letnią służbę oraz energiczną i pełną poświęcenia walkę z wnykarstwem i kłusownictwem;

Aleksandrowi Kostrowowi, bażantarnikowi Nadleśnictwa dóbr Jabłonna — Nieporęt, za gorliwą i pełną zamiłowania pracę oraz wyjątkowe rezultaty w zakresie hodowli bażantów;

Benedyktowi Ihnatowiczowi, st. gajowemu Nadleśnictwa Państwowego Lida, za energiczną i skuteczną walkę z kłusownictwem;

Aleksandrowi Woźniakowi, gajowemu Nadleśnictwa Państwowego Koło, za energiczną i skuteczną walkę z kłusownictwem i wnykarstwem;

Mikołajowi Bućce, strażnikowi łowieckiemu Nadniemeńskiego Kółka Łowieckiego, za energiczną i skuteczną walkę z kłusownictwem.

Zarząd Związku postanowił zreasumować uchwałę Wydziału Wykonawczego, dotyczącą odznaczenia delegata Związku na powiat Kalisz, Kazimierza Raszewskiego, Srebrnym Medalem Zasługi Łowieckiej, i nadał p. Raszewskiemu Medal Złoty, za wybitną działalność na stanowisku delegata Związku.

Po krótkiej przerwie, rozpatrzono wnioski o nadanie najwyższego odznaczenia łowieckiego, „Złomu".

Zarząd Związku, w tajnem głosowaniu, nadał *„Złom"*:

Maurycemu hr. Potockiemu, wiceprezesowi Związku, za całokształt działalności na polu łowiectwa;

Tomaszowi Komierowskiemu, członkowi Zarządu Związku, prezesowi Pomorskiego Towarzystwa Łowieckiego, za całokształt działalności na polu łowiectwa.

P. Prezes gen. Sosnkowski, komunikując o powziętej przed chwilą jednomyślnej uchwale Zarządu, złożył pp.: hr. Potockiemu i szam. Komierowskiemu, w imieniu Zarządu, serdeczne powinszowanie i wyrazy uznania dla ich pełnej zasług działalności ideowej na polu łowiectwa polskiego.

Czesławowi Michałowskiemu, Ministrowi Sprawiedliwości, członkowi Zarządu Związku, za wybitne zasługi dla łowiectwa polskiego.

Postanowiono, iż „Złom" wręczy p. min. Michałowskiemu delegacja Zarządu w osobach pp.: wiceprezesa hr. Potockiego, Szperlinga i red. Garczyńskiego.

Bolesławowi Świętorzeckiemu, wiceprezesowi Związku, prezesowi Towarzystwa Łowieckiego Ziem Wschodnich, za wybitne zasługi na polu organizacji łowiectwa oraz w dziedzinie literatury łowieckiej;

Władysławowi Raczkiewiczowi, marszałkowi Senatu, członkowi honorowemu Towarzystwa Łowieckiego Ziem Wschodnich, za wybitne zasługi dla łowiectwa polskiego;

Włodzimierzowi Korsakowi, członkowi Towarzystwa Łowieckiego Ziem Wschodnich, za zasługi dla łowiectwa polskiego na polu nauki, literatury i sztuki;

Dr Andrzejowi ks. Lubomirskiemu, członkowi honorowemu Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego, za wybitne zasługi na polu hodowli zwierzyny łownej;

Karolowi Olbrachtowi arcyks. Habsburgowi, członkowi honorowemu Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego, za wybitne zasługi na polu hodowli zwierzyny łownej.

P. Pawlikowski postawił wniosek o uchwalenie przez Zarząd Związku zasady, że wnioski o nadanie Medali Zasługi Łowieckiej opinjowane być mają przez Oddziały Wojewódzkiego Związku.

Głos w tej sprawie zabierali pp.: szamb. Komierowski, inż. Skulski, Ulm, gen. Skrzyński, prez. Szperling, Gędziorowski. Po zreasumowaniu dyskusji przez p. Prezesa gen. Sosnkowskiego, Zarząd Związku uchwalił:

1. Każdy wniosek na Medale Zasługi Łowieckiej Złote i Srebrne, przed rozpatrzeniem przez Wydział Wykonawczy, ulega zaopinjowaniu, w nieprzekraczalnym terminie dwóch miesięcy, przez regjonalny Oddział Związku. W wypadku sprzeciwu Oddziału sprawa przechodzi na forum Zarządu Związku.

2. Przy odznaczaniu funkcjonarjuszy służby państwowej leśnej, o ile wniosek nie został postawiony przez Dyrekcję Naczelną Lasów Państwowych, wniosek podlega uprzedniemu zaopinjowaniu przez Oddział Związku odnośnego rejonu. W wypadku, o ile wniosek jest przedstawiony przez Dyrekcję Naczelną Lasów Państwowych, odnośny Oddział Związku otrzymuje o tem zawiadomienie.

Na wniosek p. Prezesa gen. Sosnkowskiego, Zarząd Związku uchwalił:

Na każde posiedzenie Zarządu Wydział Wykonawczy przedkłada statystykę odznaczeń, ułożoną według rejonów Towarzystw ideowych oraz kategoryj odznaczonych.

Zarząd przyjął do wiadomości podziękowania odznaczonych Medalem Zasługi Łowieckiej delegatów Związku: Józefa hr. Dunin Karwickiego (pow. Zdołbunów woj. woł.), Stanisława Chodorowskiego (pow. Olkusz woj. kiel.), Zdzisława Laskowskiego (pow. i m. Białystok woj. białost.), Michała Jaworskiego (pow. Węgrów woj. lub.), Gustawa Janasza (pow. Gostynin woj. warsz.), Józefa Pierożyńskiego (pow. Iłża woj. kiel.), Witolda Grzybowskiego (pow. Sochaczew woj. warsz.), Rudolfa Józefa Starka (pow. Nowogródek woj. nowogr.), Juljana Szczygielskiego (pow. Siedlce woj. lub.) i Konstantego Komierowskiego (pow. Łomża woj. białostockie).

Przyjęto również do wiadomości podziękowanie odznaczonego Medalem Zasługi Łowieckiej nadleśniczego lasów państw. w Chocińskim Młynie, Wiktora Bolika.

Sprawę organizacji Sekcji ochrony niedźwiedzia oraz Sekcji ochrony i hodowli jelenia zreferował p. gen. Fabrycy. W dniu dzisiejszym odbyły się posiedzenia organizacyjne obydwu sekcyj. Oddziały tych sekcyj utworzone będą w regjonalnych Oddziałach Związku przed 1 stycznia r. 1935, niezwłocznie zaś po tym terminie nastąpi ostateczne ukonstytuowanie się obu sekcyj.

Na wniosek p. Prezesa gen. Sosnkowskiego, Zarząd przyjął oświadczenie p. gen. Fabrycego do wiadomości, wyrażając prośbę o możliwie szybkie utworzenie tych sekcyj oraz ukonstytuowanie się ich zarządów centralnych.

W sprawie przedstawionego przez p. prez. Szperlinga prowizorycznego sprawozdania finansowego za trzy kwartały r. b., zabrał głos p. Prezes gen. Sosnkowski, stwierdzając, że stan finansowy Związku wymaga bardzo oględnej gospodarki. Jedyną inwestycją możliwą jest inwestycja na rzecz „Łowca Polskiego", w tem przekonaniu, że wkład ten winien się szybko pokryć przez znaczne powiększenie liczby prenumeratorów.

Małopolskie Towarzystwo Łowieckie przedstawiło Związkowi wniosek o wystąpienie do właściwych władz państwowych z projektem wprowadzenia obowiązku plombowania zwierzyny bitej, przeznaczonej do handlu. Wniosek ten i jego uzasadnienie zreferował p. red. Garczyński, podkreślając słuszność i celowość tego projektu. Wielkopolski Związek Myśliwych nadesłał pismo, popierające i uzupełniające wniosek Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego.

W dyskusji nad tą sprawą wypowiedzieli się pp.: Prezes gen. Sosnkowski, płk. Chłapowski, Ulm, dr. Lardemer, Gędziorowski oraz referent red. Garczyński.

Po zamknięciu dyskusji, Zarząd Związku wnioski Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego i Wielkopolskiego Związku Myśliwych uchwalił, powołując specjalną komisję w osobach pp.: Garczyńskiego, Gędziorowskiego, dr. Lardemera i Żukotyńskiego oraz polecając komisji tej dokładne zbadanie podstaw prawnych i opracowanie stosownych memorjałów.

W związku z projektem plombowania zwierzyny bitej, p. dr. Lardemer wysunął wniosek o wyjednanie możliwości sprzedaży plombowanej zwierzyny w stanie zamrożonym przez cały rok.

Ponieważ obecne prawo łowieckie nie dopuszcza sprzedaży zwierzyny po upływie 10 dni od rozpoczęcia czasu ochronnego, wniosku p. dr. Lardemera nie rozpatrywano.

Sprawę dalszego ulepszenia wydawnictwa „Łowiec Polski" referował p. red. Garczyński, oświadczając, iż w łączności z zapewnioną subwencją, w ostatnim kwartale roku ubiegłego ustalony został pewien poziom pisma. Zadaniem redakcji było, według p. red. Garczyńskiego, poziom ten utrzymać, a ponadto, jeśli okaże się to możliwem, zapewnić dalszy rozwój pisma. P. red. Garczyński uważa, że zadanie to zostało spełnione, przyczem nie zaszła potrzeba zużycia znacznej części subwencji. Licząc się z obecną sytuacją finansową Związku, p. red. Garczyński przedstawił dezyderaty następujące:

1. utrzymanie „Łowca Polskiego" na dotychczasowym poziomie,

2. podwyższenie honorarjów autorskich,

3. zreorganizowanie działu ogłoszeń.

P. Prezes gen. Sosnkowski stwierdził, że nie została wykonana uchwała Zarządu w tej sprawie. Subwencja na „Łowca Pol-

skiego" przeznaczona została przez Zarząd Związku w przekonaniu, że, przez podniesienie wydawnictwa, zwiększy się liczba prenumeratów i w ten sposób subwencja ta będzie inwestycją celową. Potrzebne jest programowe ujęcie układu pisma. Powinny w „Łowcu Polskim" znaleźć miejsce artykuły, oświetlające społeczną wartość łowiectwa i jego znaczenie dla ekonomiki kraju. Należy wprowadzić dział przeglądu prasy zagranicznej, dział cenniejszych tłumaczeń z literatury obcej. Beletrystyka łowiecka powinna objąć opisy rzeczywistych przeżyć i przygód myśliwskich, nie zaś mniej lub więcej udatne upoetyzowane fikcje. Ożywić pismo może uwzględnienie egzotyki łowieckiej. Należałoby szerzej rozwinąć dział konkursów, nie ograniczając się jedynie do dziedziny fotografji. Możnaby długo mnożyć tego rodzaju sugestje, praktyczniej będzie jednak dyskutować nad projektem redaktora, dlatego też p. Prezes gen. Sosnkowski uważa, iż należy, w przypomnieniu poprzedniej uchwały Zarządu, prosić raz jeszcze p. red. Garczyńskiego, by przedstawił swoje wnioski programowe.

P. dr. Lardemer stwierdza, że strona redakcyjna „Łowca Polskiego" uległa już znacznej poprawie, ale trzeba iść naprzód. Konkursy, tłomaczenia prac z języków obcych, artykuły o społeczno-ekonomicznem znaczeniu łowiectwa są konieczne. Należy unikać natomiast publikowania artykułów polemicznych, które dla jednostek tylko są ciekawe i rzeczowe, nie budzą jednak zainteresowania szerszego ogółu myśliwych.

Zarząd polecił ponownie p. red. Garczyńskiemu opracowanie projektu zmian w kierunku podniesienia „Łowca Polskiego". Projekt ten rozpatrzony będzie przed 1 stycznia r. 1935, przy ustalaniu preliminarza budżetowego na rok przyszły.

Sprawę Komisji propagandowej P. Z. S. Ł. zreferował przewodniczący Komisji, p. Skrzypek. Sprawozdanie za pierwszy miesiąc działalności Komisji zamieszczone zostało w Nr. 29 „Łowca Polskiego" z r. b. Komisja opracowała projekt regulaminu wewnętrznego i przedstawia go Zarządowi Związku do zatwierdzenia wraz z szeregiem wniosków.

Regulamin Komisji propagandowej zatwierdzony został w brzmieniu projektu. Regulamin ten dołączono do niniejszego protokółu.

Zarząd związku uchwalił następujące wnioski Komisji propagandowej:

1. Związek sporządzi i będzie utrzymywał w stanie aktualności imienną kartotekę myśliwych z całej Polski.
2. Postanawia się ogłosić w „Łowcu Polskim" komunikat, podający do wiadomości ogółu, że każdy myśliwy może indywidualnie zostać członkiem popierającym Związku.
3. Wprowadza się legitymacje członkowskie dla myśliwych, zrzeszonych w Związku.
4. Wprowadza się znaczki członkowskie w postaci żetonu.
5. Postanawia się wystąpić do Ministerstwa Komunikacji:
   c) o zarezerwowanie stałych przedziałów dla myśliwych w pociągach osobowych, w ciągu całego roku;
   b) o dalszą zniżkę taryfy za przewóz koleją psów myśliwskich do wysokości opłaty za 20 kg. bagażu, oraz o wprowadzenie tej taryfy na stałe, nie zaś na pewien okres w roku;
   c) o wydanie bezpłatnego biletu kolejowego dla użytku Komisji propagandowej, względnie redakcji „Łowca Polskiego".

Wielkopolski Związek Myśliwych wystąpił z prośbą o prolongowanie na przeciąg kilku miesięcy zaległej składki na rzecz centrali. Prośbę tę poparł ks. Czartoryski, przedstawiając ciężkie położenie finansowe Wielkopolskiego Związku Myśliwych.

W dyskusji zabierali głos pp.: Prezes gen. Sosnkowski, hr. Potocki, inż. Skulski, red. Garczyński, Ulm, gen. Skrzyński, Szperling, Gędziorowski, Skrzypek i Komierowski.

Zarząd Związku wypowiedział się jednomyślnie, iż zaległości w opłatach składki członkowskiej są niedopuszczalne. Dotychczasowe zaległości winny być bezwzględnie uregulowane w ten sposób, iż przy wpłacie składki bieżącej zalegające Oddziały i Stowarzyszenia obowiązane są wpłacać nadto raty zaległości w wysokości rat składki bieżącej, aż do całkowitego pokrycia długów.

Zgodnie z wnioskiem Wydziału Wykonawczego z dnia 9 lipca r. b., Zarząd Związku przyjął ponownie w poczet Stowarzyszeń Związkowych Kółko Łowieckie „Lewart" w Lubartowie.

Nadesłane na ręce p. Prezesa gen. Sosnkowskiego pismo prezesa Międzynarodowej Rady Łowieckiej o zamiarze zakupu zwierzyny żywej w Polsce postanowiono przesłać w odpisie Ministerstwu Rolnictwa i Reform Rolnych z zapytaniem, czy Dyrekcja Naczelna Lasów Państwowych zechce zainteresować się tą sprawą, czy też powierzyć ją należy eksporterom prywatnym.

Zgodnie z wnioskiem p. dr. K. Wodzickiego, postanowiono wystąpić ponownie do Ministerstwa Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego z propozycją utworzenia w Wyższej Szkole Gospodarstwa Wiejskiego katedry łowiectwa.

ZWIERZYNIEC MIEJSKI W POZNANIU.

(Sprawozdanie za rok 1933/34).

Zwierzyńce miejskie, które znajdują się na terenie Rzeczypospolitej, a jest ich dziewięć, zawdzięczają niejedno — w większym lub mniejszym rozmiarze — myśliwym.

Uważam za rzecz wielce wskazaną umieszczanie na łamach „Łowca Polskiego" rocznych sprawozdań. Są one przedewszystkiem przypomnieniem szerokiemu ogółowi, że dany zwierzyniec istnieje i ciągle liczy na pomoc, daje społeczeństwu obraz rocznej pracy, a wreszcie informuje zarządy innych zwierzyńców o trudnościach gospodarczych i sposobach zwalczania ich przez kierowników danych zwierzyńców.

Poniżej podaję sprawozdanie Zarządu zwierzyńca w Poznaniu, najstarszego w Polsce, bo założonego jeszcze w 1871 roku.

Skutki ogólnego kryzysu gospodarczego spowodowały w minionym roku obrachunkowym dalsze kurczenie się dochodów. Wpływy z biletów wstępu obniżyły się w stosunku do roku 1932/33 o zł. 3.408.90 czyli o 4,8% (w zwierzyńcu w Berlinie o 7,5%). Obniżenie ceny za wstęp w niedziele i święta do połowy normalnej opłaty nie wykazało dodatnich rezultatów. Natomiast impreza teatru letniego w ogrodzie koncertowym wzbudziła w sferach zamożniejszych nieco zainteresowania dla zwierzyńca.

Za każdorazowem opłaceniem wstępu zwiedziło zwierzyniec 114.246 osób. Dzieci szkolnych z miasta Poznania było bezpłatnie w zwierzyńcu 17.113, a z prowincji za opłatą 20 gr. od osoby 13.614 — ogółem 30.727 dzieci. Również za opłatą 20 gr. zwiedziło zwierzyniec 3,111 żołnierzy.

Kart głównych wydano 161 sztuk, kart ubocznych — 669 i kart bezpłatnych — 232 sztuki.

Ogólna liczba zwiedzających wynosiła zatem 149,146.

Dochody i wydatki całego roku bilansują się w sumie zł. 137,985,02.

W wydatkach stosowano wszechstronnie jak najdalej idącą oszczędność, przez co można było w niektórych pozycjach poczynić znaczne skreślenia. Do tego przyczynił się także obfity sprzęt płodów rolnych oraz darowizna 9 500 kg. wysłodków buraczanych.

Z subwencji miejskiej potrącono za koks, wodę, prąd i dzierżawę gruntów zł. 8,843 63.

Urządzenia ogrodnicze znajdowały się, jak dotąd, pod opieką Dyrekcji Ogrodów Miejskich.

Nadzór nad higjeną zwierząt oraz badanie ubitych koni na karmę dla drapieżców wykonywał dr. Bolesław Witkowski.

Ze zwierząt nabyto 11 drobnych małp, 3 czerwonaki, 2 małe drapieżce, 2 gryzonie oraz 28 mniejszych ptaków. Tytułem wymiany uzyskano 1 osła bułgarskiego, 1 rysia, 1 parę lisów srebrzystych, 1 parę psów „ingo" i 1 żórawia — za 1 zebu i parę kangurów.

Z przychówku osiągnięto: 1 jelenia aksis, 1 jelenia bengalskiego, 3 daniele, 2 owce grzywiaste, 1 kozę, 1 tygrysa bengalskiego, 1 niedźwiedzia brunatnego, 1 psa dingo, 3 małpy makaki, 2 kangury czerwone, 3 łabędzie, 10 kaczek tureckich, 13 dzikich kaczek, 12 papużek prążkowanych i kilkadziesiąt gołębi.

Jako dary otrzymano: 2 owce domowe, 1 pawiana, 1 lisa, 4 tchórze, 1 fretkę, 2 tukany, 4 gęsi mieszańce, 1 żórawia, 2 synogarlice, 1 gila, 1 żółwia błotnego.

Stan zdrowia zwierząt był naogół zadowalający. Z ważniejszych okazów, mianowicie takich, które od szeregu lat przebywały w zwierzyńcu padły: 1 lew „Cezar" na zapalenie dróg oddechowych i rozdęcie komórki sercowej, 1 wielbłąd dwugarbny miał bąblowce na wątrobie i płucach, 1 puma — zapalenie płuc, 2 muflony na anemję, 2 jeżatki — zatrucie minją, 1 pawjan — wypad kiszki odchodowej. Ogółem ubyły wskutek śmierci 33 ssaki i 48 ptaków, czyli 81 okazów, t. j. 80% ogólnego zwierzostanu. Skutkiem wymiany ubyły 3 okazy. Ubytek został po części wyrównany przez przychówek i kupno nowych zwierząt tak, że pod koniec roku było 987 okazów w 277 gatunkach.

Pomimo, że ilościowo zwierzostan się nie zmniejsza, to gatunkowo zaznaczył się pewien ubytek, który niestety dla braku odpowiednich kredytów trudno było wyrównać.

Zarząd zwierzyńca uprawiał 18 ha roli. Oprócz słomy i paszy zielonej, sprzątnięto 874 q. (kwintali) ziarna i 1180 q. okopowych.

Jako dary w naturaljach otrzymano: 2,83 q. zboża miesz., 8,5 q. jęczmienia, 235 szt. jaj, 20 q. żytnich otrąb, 190 q. suchych wysłodków.

JÓZEF WŁ. KOBYLAŃSKI.

DOBRE I ZŁE.

Przez cztery miesiące (od lipca) nie pojawiały się zupełnie „Trąbki", dodatek łowiecki do „Słowa" wileńskiego, wskutek czego Nr. 5 tego dodatku ukazał się ryczałtem „za miesiące sierpień, wrzesień i październik", opuszczając prasę dopiero 18 listopada b. r.

„Trąbki" wychodzą już przez kilka lat i odgrywają dodatnią rolę wśród północno-wschodniego społeczeństwa myśliwskiego, toteż nie możemy się powstrzymać od skierowania pod adresem wydawców „Słowa" pewnego rodzaju wyrazu goryczy i zawodu, że już w roku zeszłym nie wydano „Trąbek" w dwunastu numerach (a wszakże „Trąbki" noszą charakter miesięcznika), lecz komasowano te numery, wypuszczając je często raz na dwa miesiące i bynajmniej nie w zwiększonej objętości, a obecnie ta „komasacja" przybrała już charakter notoryczny, skoro do listopada prenumeratorzy „Słowa" doczekali się zaledwie 5-ciu numerów „Trąbek".

O ile nam wiadomo, nie brak materjału z zakresu piśmiennictwa łowieckiego, lecz jakieś inne względy musiały podciąć kwitnący tak sympatycznemi barwami kwiat naszej łowieckiej niwy. Czyżby więc upadek „Słowa" — brak prenumeratorów wpłynął na konieczną oszczędność redakcji, wyrażoną w zredukowaniu 4 stron druku na... miesiąc? Czy może, o co nie chcemy posądzać, wzmożone apetyty wydawców, wyrażające się w systematycznej zamianie pozycji rozchodowej na bezwzględny dochód ich kieszeni?

To pewne, że tak czy owak prenumeratorzy „Słowa" — myśliwi — nie zaliczą abstynencji tego pisma od niwy łowieckiej na plus redakcji i nie wzmocni to ich sympatji, jakie pomnażały w nich oczekiwane co miesiąc „Trąbki".

Nr. 5 przynosi wiele ciekawych rzeczy, o które zawsze potrafi postarać się Redaktor Pawlikowski.

Na czoło wybija się arcy-ciekawy i charakterystyczny pomysł ankiety na temat polowań z gończemi. Ciekawy, bowiem samo polowanie z gończemi należy do najpiękniejszych form sportu myśliwskiego; charakterystyczny ze względu na poglądy w tej sprawie p. Pawlikowskiego i na zamiar dopomożenia sobie tą ankietą do zwalczenia rzeczowych kontr-poglądów opozycjonistów, drukowanych pod postacią wyczerpującej dyskusji na łamach „Łowca Polskiego" (Nr. Nr. 8, 9, 13, 18, 20 i 23). Pozwalamy sobie tu skromnie wtrącić, że pytania, zredagowane do ankiety, wskazują na ten zamiar, zwłaszcza w punktach 5 i 6. Naszem zdaniem pytania te są trochę niejasno i niewłaściwie nawet użyte. Cytujemy je:

„5 Czy znane jest Panu łowisko (gospodarstwo łowieckie) na Ziemiach Wschodnich, któreby utrzymywało na większą skalę polowanie z gończemi (większą psiarnię, specjalnego dojeżdżacza i t. p.)?"

Zapewne — nie.

Ależ, na miły Bóg, nie to wcale dowiedzie, że na naszych kresach są, lub niema warunków do polowania z gończemi. Dowiedzie jedynie, że miłośnicy polowania z gończemi nie posiadają w dzisiejszych czasach środków materjalnych na rozszerzenie swego zamiłowania w takiej postaci. Natomiast, posiadając dwa dobre pieski, a chociażby jednego, mogą polować z gończemi dowoli i tylko właśnie na Ziemiach Wschodnich, w okolicach, gdzie to polowanie spoiło się nierozłącznie z warunkami i rodzajem terenów oraz ze stosunkowo małą liczebnością zwierzyny, rozsianą na wielkich przestrzeniach leśnych.

„6) Co pan myśli o przyszłości polowania z gończemi? Czy wróci ono do dawnej świetności, czy też zniknie zupełnie?"

Odpowiadam na to ostatnie pytanie ankiety, nie mieszkając — niestety! — na Kresach Wschodnich: „Świetność" przyszłości polowania z gończemi zależy od umiłowania tego rodzaju polowania przez myśliwych, od zachowania przez nich świetności tradycji kresowego myśliwca, przekazywanej synowi przez ojca i t. d. od niezagubienia w swej duszy pierwiastków poezji i zachwytu dla pięknego łowiectwa — choćby w najskromniejszych ramach organizacyjnych.

Ale w każdym razie ankieta ta jest pierwszorzędnym pomysłem dla skierowania zaspałych na piękne tory wspaniałej łowieckiej rozkoszy, na wzbudzenie chęci do uczynienia próby takiego polowania, jak go dziadowie nasi uprawiali.

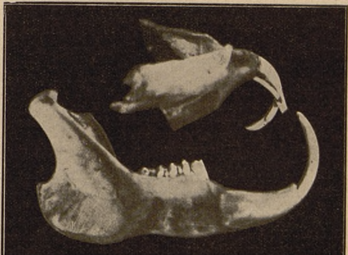
I w tem leży wielka zasługa p. Redaktora Pawlikowskiego jak i w tem, że ten temat poruszył swoiście na łamach „Łowca Polskiego" w artykule „Czy możliwy jest renesans polowania z ogarami".

Ależ, oczywiście tak!

WUZET.

RZADKI OBJAW PATOLOGICZNY.

Od Delegata P. Z. S. Ł. na powiat Wilejka otrzymaliśmy ciekawą fotografję, przedstawiającą czaszkę zająca (szaraka), zabitego w styczniu b. r. Wprawdzie czaszka podczas wygotowywania rozpadła się, albowiem po zdjęciu skórki okazało się, że kości trzymają się tylko na błonach, lub raczej na chrząstkach, które utworzyły się pod linjami pęknięć, jakim czaszka uległa z powodu przerostu zębów, lecz chodzi tu o przedstawienie patologicznego objawu w uzębieniu.



Zając ten mimo wadliwego uzębienia, utrudniającego mu żywienie się, nie robił wrażenia chorego zwierzęcia, a waga jego po zabiciu okazała się przeciętna, wynosząca $3^3/_4$ kg.

Zęby górnej szczęki są podwójne i powykrzywiane w różne strony, dolnej zaś zbyt długie i mocno starte na kościach.



Rozkład dwudniowego polowania w dobrach Trzebień.

KRONIKA MYŚLIWSKA.

— W dniach 29 i 30 października b. r. odbyło się polowanie na drobną zwierzynę w dobrach Trzebień Stanisława hr. Zamoyskiego.

W polowaniu wzięło udział 10 strzelb, a mianowicie pp.: Mieczysław hr. Kwilecki, Tadeusz Halpert, Paweł hr. Potocki, Władysław hr. Tarnowski, Janusz Zdziechowski, Włodzimierz ks. Czetwertyński jr., Tomasz hr. Żółtowski, Benedykt hr. Tyszkiewicz, Jan hr. Zamoyski i gospodarz.

Ogólny rozkład zwierzyny przedstawia się, jak następuje: 21 słonek, 4 cietrzewie, 14 kuropatw, 16 lisów, 1 borsuk, 159 królików, 1260 zajęcy i 5 różnych — razem 1480 sztuk.

Pierwszego dnia polowania ubito 648 sztuk, w tem 16 słonek i 10 lisów; drugiego dnia 832 sztuki. Tomasz hr. Żółtowski zabił 8 słonek, z których 7 jednego dnia. Nie było myśliwego, któryby nie miał na rozkładzie lisa, a trzech miało ich po trzy.

— Dn. 24 listopada r. b. odbyło się u p. Tadeusza Pietraszewskiego w Kołacinie pod Rogowem polowanie w 13 strzelb. Pomiędzy licznymi gośćmi byli obecni: ambasador Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej, p. Cudahy, dowódca O. K. Nr 1, gen. Cz. Jarnuszkiewicz i prof. F. A. Ossendowski.

Znajduje się tam dobry teren bażanci, ze starannie prowadzonemi zagajnikami i remizami. Opolowano około 450 ha. urządzając 2 sztrajfy, 1 kocioł i 6 pędzeń. Ubito 182 sztuki zwierzyny, a mianowicie: 110 zajęcy, 25 królików, 22 bażanty, 20 kuropatw, 1 lisa i 4 drobne drapieżniki. Jak z cyfr tych wynika, odstrzał kogutów był stosunkowo słaby.

Najwięcej sztuk (30) na rozkładzie miał p. Jerzy Pietraszewski z Drzazgowej Woli.

— Dn. 9 i 10 listopada r. b. odbyło się doroczne polowanie w maj. Mroga, pow. łowickiego u pp. Sewerynostwa Stanilewiczów, przy udziale następujących pp. myśliwych: dr. Czarkowski, mjr. Ed. Czuruk, zast. Kom. m. st. Warszawy, M. Mikulicz Radecki, W. ks. Mirski-Światopełk, Tadeusz Prus-Mścichowski, Zbigniew Prus-Mścichowski, St. Sokolowski, L. Sulimierski, Tad. Znaniecki, Mar. Znaniecka i ks. Wysocki.

Ogółem ubito: 80 bażantów, 48 kuropatw, 152 zające, 75 królików. Najwięcej miał na rozkładzie ks. Mirski-Światopełk — 83 sztuki.

Stosunkowo słabszy rozkład przypisać należy złej pogodzie, co dało się odczuć specjalnie pierwszego dnia polowania.

Kochanym Gospodarstwu za miłą, nacechowaną staropolską tradycją gościnę składamy dzięki, zapewniając, że polowanie w Mrodze pozostawi zawsze niezatarte wspomnienia w sercu każdego szczęśliwego uczestnika.

Tad. Prus-Mścichowski.

— W dn. 23 listopada odbyło się polowanie w Złotej, pow. pińczowskiego u pp. Wesołowskich. W 12 strzelb, przy złej pogodzie, w dwóch sztrajfach zabito 650 zajęcy, 200 bażantów, 70 kuropatw, razem 920 sztuk. — Polowanie wzorowo prowadzone. Stan bażantów wspaniały.

W polowaniu brali udział p. p. wice-minister Mikołaj Dolanowski, Tadeusz i Włodzimierz Krzyżanowscy, Janusz Olszowski, Adam Konopka, Krzysztof ks. Radziwiłł, Konrad Niemojewski (który zabił najwięcej: 145 sztuk), Zygmunt Frycz, Andrzej Deskours, Stefan Libiszowski, Andrzej i Janusz Wesołowscy.

KŁUSOWNICTWO.

(—zet—). W Nr 33 „Łow. Pol.", w niniejszej rubryce zamieściliśmy za jedną z codziennych gazet prowincjonalnych wzmiankę o postrzeleniu kłusownika w dobrach „Oszaków" ziemi kaliskiej.

Ponieważ, jak obecnie dowiadujemy się z bezpośredniego źródła, fakt tego kłusownictwa miał miejsce w dobrach Osuchów i posiadamy dokładne szczegóły przebiegu wypadku, uzupełniamy poprzednią wzmiankę.

Dnia 1 listopada około godz. 4-ej rano strażnik łowiecki, maj. Osuchów gm. Koźminek ziemi kaliskiej, Józef Herbuś zetknął się z nieuchwytnym kłusownikiem, polującym od kilku dni na bażanty w zagajach maj. Osuchów.

Na wezwanie do zatrzymania się i złożenia broni kłusownik odpowiedział strzałami rewolwerowemi, raniąc Herbusia w nogę i głowę, który w obronie życia również użył rewolweru. W strzelaninie padło 14 strzałów. Kłusownik zbiegł, zostawiając na miejscu cztery zabite bażanty i strzelbę pojedynkę.

Niezwłocznie zawiadomiona policja ujęła kłusownika, (którego Herbuś poznał), w jego mieszkaniu, okazał się nim Stanisław Olczak, mieszkaniec wsi Osuchów. Ponieważ Olczak otrzymał dwie rany w pierś, przewieziono go do szpitala, a sprawę oddano prokuratorowi. Herbuś przebywał dwa tygodnie w szpitalu, naskutek postrzału w głowę stracił wzrok w lewem oku; ubezpieczony jest na wypadek śmierci lub kalectwa w Tow. „Patria" (za pośrednictwem Pol. Zw. Stow. Łow.).

ODPOWIEDZI REDAKCJI.

Panu C. T.

Kto pragnie dokonywać odstrzału bocianów, stwierdziwszy ich szkodliwość w hodowlanem gospodarstwie łowieckiem, może tego dokonywać jedynie w okresie od 16 lipca do odlotu, bocian bowiem podpada pod grupę, oznaczoną w tabeli ochronnej: „inne ptactwo błotne i wodne".

Należy wyjaśnić jednakże, że szkodliwość bocianów dla łowiectwa wskutek niszczenia przez nie gniazd kuropatw i innych ptaków oraz małych piskląt, można zaobserwować przedewszystkiem na łąkach, gdzie kuropatw gnieździ się stosunkowo niewiele.

W momencie ewentualnego odstrzału bocianów po 15 lipca, młode kuropatwy i inne ptaki, gnieżdżące się w polach i łąkach, są przeważnie już dość wyrośnięte, ażeby ujść napaści bocianów, wobec czego strzelanie ich w tym czasie nie wydaje się celowem. WŁ. Z.

Redaktor Walenty Włodzimierz Garczyński. Wydawca: Polski Związek Stowarzyszeń Łowieckich

PRENUMERATA: Zgóry za kwartał zł. 7.50; za pół roku zł 15; za rok zł. 28. — Miesięcznie 2.50. — Numer pojedyńczy — 1 zł. Numer ozdobny 1 zł. 50 gr. Za numery które wyszły przed zapłaceniem, liczymy po 1 zł. Za zmianę adresu 50 gr. Za numer reklamowany w przeciągu miesiąca — 25 gr.

CENY OGŁOSZEŃ: Milimetr za tekstem 60 gr. Cała strona — 300 zł.; ½ — 150 zł.; ¼ — 75 zł.; ⅛ — 40 zł. Przed tekstem — 50% drożej. Za zastrzeżone miejsca dopłaca się 25%.

Drobne ogłoszenia — po 10 gr. za wyraz; grubemi literami — po 20 gr. za wyraz; najmniejsze ogł. — 1 zł

W numerach ozdobnych: Za tekstem 1 milim. 90 gr. Cała strona 450 zł.; ½ — 225 zł.; ¼ — 115 zł.; ⅛ — 60 zł. **Przed tekstem 50% drożej. — Za zastrzeżone miejsca dopłaca się 25%. — Agentom nie wolno pobierać zaliczek.**

Rękopisów redakcja nie zwraca i zastrzega sobie prawo czynienia zmian i skrótów w nadsyłanych artykułach, oraz decyzji co do terminu ich umieszczenia. Prosimy o nadsyłanie rękopisów wyłącznie pod adresem redakcji.

Redaktor przyjmuje rozmowy telefoniczne oraz interesantów w swem mieszkaniu prywatnem (Kredytowa 18 m 3, tel. 604-25), codziennie, prócz sobót, między 3-ą i 4-ą pop.; w redakcji — w poniedziałki od 6-ej do 7-ej pop. — Biuro czynne od 9 do 3-ej i od 5-ej do 7-ej wiecz., w sobotę do godz. 3-ej.

Zarząd i Sekretarjat Polskiego Związku Stowarzyszeń Łowieckich tel. 6 66-15.

ADRES: NOWY ŚWIAT 35. TELEFON REDAKCJI I ADMINISTRACJI 607-98. KONTO P. K. O. Nr. 8082